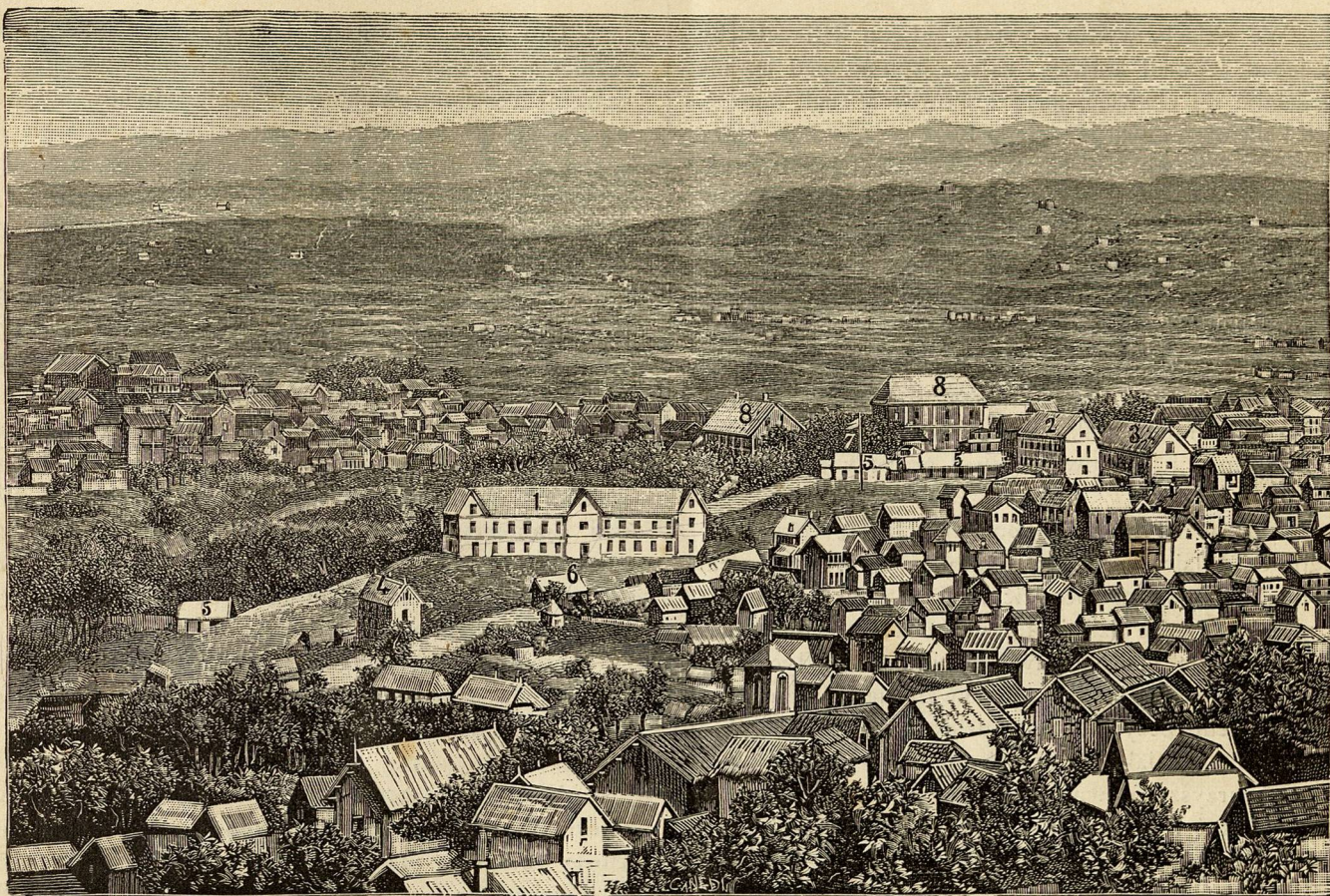




Madagaskar. — Widok na francuską dzielnicę miasta Tananariwy.

1. Kasarnie gwardyi przybocznej francuskiego rezydenta. — 2. Mieszkanie rezydenta. — 3. Kancelarya rezydenta. — 4. Mieszkanie lekarza francuskiej kolonii. — 5. Składy. — 6. Więzienie wojskowe. — 7. Pawilon francuski. — 8. Domy Malgaszów.

Niewolnicy w Afryce Środkowej. (Ubangi).

—o—o—o—

W liście poniżej umieszczonym, X. biskup Augouard, wikaryusz apostolski Ubangi, kreśli obraz okropnych i barbarzyńskich zwyczajów, istniejących jeszcze dotychczas wśród niektórych afrykańskich ludów. Pośpny ten obraz powinienby w sercach czytelników obudzić współczucie dla nieszczęśliwych ofiar okrucieństwa, jak również sympatyę dla misjonarzy, którzy z bohaterską odwagą poświęcają się ewangelizowaniu wydziedziczonych swych bliźnich.

List X. biskupa Augouard'a, Wikaryusza apostolskiego Ubangi do Jego Eminencji kardynała Ledóchowskiego, Prefekta świętej Kongregacji Propagandy.

Brazzaville dnia 2 grudnia 1893 r.

Z radością spieszę donieść Waszej Eminencji o pomyślnych wynikach apostolskiej wycieczki, odbytej we wrześniu i październiku na misyjnym parowcu »Leon XIII«, pod kierunkiem O. Allaire.

Gorliwy ten misjonarz, którego poświęcenie i zaparcie się siebie, na jak największe zasługuje uznanie, przedsięwziął trudną i niebezpieczną wyprawę do dzikich afrykańskich plemion, nienawidzących Europejczyków, którzy swem okrucieństwem, chciwością i obłudą, zniechęcili je już oddawna do europejskiej pseudo-cywilizacji.

Dziś wszędzie niemal wśród krzewów, rosnących nad brzegami rzek, ukrywają się krajowcy, czatując na przepływające tamtędy łodzie lub parowce, aby niespodzianie na nie uderzyć. Napaści takie tem są niebezpieczniejsze, że włócznie i zatrute strzały bez najmniejszego szmeru dosięgają upatrzone ofiary.

Skoro tylko krajowcy spostrzegą jaki statek w pobliżu swej wioski, natychmiast uciekają do lasu, zabierając ze sobą wszystko, co mają najdroższego. W zaroślach tylko pozostają najodważniejsi wojownicy, urządzając w sposób powyżej opisany zasadzki na nowoprzybyłych. Zresztą mieszkańcy niektórych wiosek, znudzeni częstymi walkami i ciągłą troską o jutro, przenieśli swe chaty w głąb kraju na niedostępne bagniska, co podróżnikom pragnącym dotrzeć do dzikich tych ludów, utrudnia bardziej jeszcze wykonanie tego zamiaru.

We wsiach, w których statek »Leon XIII« choćby raz jeden zarzucił kotwicę, załoga jego niczego już nie potrzebuje się obawiać, gdyż krajowcy poznali dobroć, litość i bezinteresowność białego Bożego człowieka, który nie przybywa tam dla handlu lub zbójeckich napaści. W miejscowościach jednak zwiedzanych po raz pierwszy, trzeba być przygotowanym na jak najgorsze niespodzianki, dniem i nocą mieć się ciągle na baczności.

Dzięki widocznej opiece Niebios, pomimo okropnych upałów, wywołujących febrę w bagnistych okolicach, jak również pomimo ulewnych deszczów i silnego przeciwnego prądu wody, który utrudniał żeglugę, a wreszcie pomimo dzikości krajowców, podróż odbyła się pomyślnie, jej zaś owoce nawet przeszły nasze oczekiwania.

Podczas wycieczki dokonanej w lutym roku ubiegłego, O. Allaire przywiózł około 40 osób, tym razem zaś udało mu się oswobodzić z kajdan niewoli przeszło 70 nieszczęśliwych dzieci. Łatwo można się domysleć, z jaką radością pobłogosławiłem wszystkich tych małych niewolników, którzy wpatrywali się we mnie dużymi czarnymi oczyma, jakby dziękując za ocalenie od okropnego losu, jaki ich oczekiwał. Na widok tylu nowych towarzyszy, dawni wychowawcy naszej ochronki zaczęli skakać z radości, nowo przybyli zaś również cieszyli się niezmiernie, tem bardziej, że wielu z nich znalazło w gronie naszych uczniów swoje rodzeństwo lub krewnych.

Piękne te chwile pozwalają nam zapomnieć o wszystkich trudach, troskach i niebezpieczeństwach misyjarskiego żywota, biedne zaś dzieci, wydarte przez nas z niewoli oraz ciemności poganizmu, wielką sprawiają nam pociechę.

Podczas ostatniej wycieczki O. Allaire zauważył nowy objaw okrucieństwa, o którym dotąd nie wiedzieliśmy wcale. Na wszystkich rynkach afrykańskich biedni niewolnicy sprzedawani bywają jak bydło na rzeź przeznaczone. Niejednokrotnie już byliśmy świadkami takiej sprzedaży *en gros*, ale nie mieliśmy jeszcze pojęcia o tem, czem ona jest *en détail*. Otóż w krainach zwiedzanych w ostatnich czasach, istnieje okropny zwyczaj, że jeżeli kto nie może nabyć całego niewolnika, to kupuje sobie jakikolwiek członek jego ciała, stosownie do upodobania. Skoro na przykład wybierze rękę, w takim razie właściciel niewolnika robi na niej znak za pomocą kredy, nieszczęśliwy zaś murzyn oczekuje z rezygnacją, czy rychło takież sam znak pojawi się na drugiej ręce. Każdy więc z kupujących wybiera sobie dowolnie nogi, ręce lub piersi biednej ofiary, gdy zaś wszystkie członki zostaną sprzedane, wówczas właściciel ucina niewolnikowi głowę, ciałem zaś jego dzielą się nabywcy.

Czy można sobie wyobrazić coś okropniejszego nad czyn tak barbarzyński i zwierzęcy?!

Oto z jak okrutnymi ludźmi mamy obecnie do czynienia, starając się o ile możności, położyć tamę tak wstrętnym scenom. Wykupywanie niewolników nie wiele wprowadzie nas kosztuje, ale natomiast przewożenie ich z głębi Afryki do naszej misyi, ogromne kosztą pociąga za sobą. Nie mało teżłożyć musimy na żywienie nieszczęśliwych tych dzieci dopóty, dopóki nie zdołają same zapracować na chleb powszedni.

Mam nadzieję, że Wasza Eminencya zechce łaskawie przyjść nam z pomocą, dostarczając środków ocalenia tylu biednych dzieci od najokropniejszego losu, jaki można sobie wyobrazić. W wikaryacie moim, niestety, mieszkają najdzikszy ludożercy, my zaś bardziej, niż ktokolwiek inny, możemy pracować nad ucywilizowaniem tych ludzi, których zbawienie tak bardzo Waszej Eminencyi leży oddawna na sercu. Dlatego też ośmielam się mieć nadzieję, że dzięki Waszej Eminencyi, zdołamy wydrzeć wielu biednych niewolników z rąk okrutnych ich panów.

Obecnie zakładamy misję pod wezwaniem Świętego Pawła w samym środku Górnej Ubangi, zamieszkanej przez dzikie plemię Bondzósów.

W roku bieżącym udało mi się zabrać do nowej stacji misyjnej synów kilku wodzów tego plemienia, którzy zaczynają już potrosze się cywilizować, przysięgli bowiem, że nigdy odtąd nie skosztują mięsa ludzkiego.

Spodziewam się, że za ich pośrednictwem zdołamy zawiązać stosunki z całym bondzосьkim plemieniem, które dotychczas unikało starannie wszelkiego zetknięcia się z Europejczykami. Nowa nasza misya leży o 1800 kilometrów od wybrzeża, w pobliżu słynnych wodospadów rzeki Ubangi.

Zamierzamy również w niedalekiej przyszłości założyć o 200 kilometrów od misyi św. Pawła stację misyjną pod wezwaniem Świętej Rodziny. Stacja ta będzie się wznosiła w samym środku niewielkiej krainy Banziri, której mieszkańcy chociaż mniej dzicy od Bondzósów, nie gardzą jednak wcale mięsem swych niewolników.

Polecam więc modlitwom Waszej Eminencyi odważnych apostołskich pracowników, wyznaczonych do misyi wśród dzikich ludożerców, życiu bowiem tych misjonarzy będzie niemal ciągle groziło niebezpieczeństwo.

Oby Bóg pozwolił Waszej Eminencyi, cieszyć się wraz z nami pomyślnymi wynikami, otrzymanymi dzięki wspaniałomyślnej i łaskawej Jego opiece!

Katolicy i protestanci na Madagaskarze.

List O. Caussèque, Prokuratora missyi.

—o—o—

Missyonarze katolicy na Madagaskarze, podobnie jak starożytni Rzymianie, bardziej są zajęci wykonywaniem wielkich rzeczy, niżeli ich opisem. Należy też przyznać, że niemal bez ustanku zaczepia ich nieprzyjacieli w najrozmaitszy sposób, walka zaś nie wiele pozostawia im czasu do kreślenia sprawozdań ze swej działalności. Niekiedy tylko pomiędzy jedną potyczką a drugą, zdołają oni rzucić słów kilka na papier.

Pozwólcie mi więc streścić dla waszych czytelników liczne notatki, przesłane mi do Paryża w r. 1893 przez drogich mych towarzyszy z wielkiej wyspy afrykańskiej. Przedewszystkiem przytoczmy w streszczeniu statystykę rozmaitych missyj, istniejących obecnie na Madagaskarze:

Missye.

	Biblijna z Anglii	Luterska z Norwegii	Katolicka z Francji
Personal europejski	68	44	114
Nauczyciele krajowcy	6.110	1.130	641
Uczniowie w szkołach	92.316	37.487	17.338
Adepci	310.313	47.681	130.669
Kościół lub kaplice	1.333	454	415
Drukarnie	3	1	1
Szpital	2	1	0
Szpital dla trędowatych	1	?	1
Obserwatorium astronom.	0	0	1
Budżet	około miliona	nieznany	zaledwie 200.000 fr.

Smutne, niestety, wrażenie wywrze powyższa tabela na waszych czytelników. Przyzwyczajaiwszy się do widoku świetnych zwycięstw, odnoszonych przez missye katolickie nad innemi missyami, powiedzą oni zapewne z uczuciem głębokiego smutku: »Dlaczego na Madagaskarze herezya tak widoczną osiągnęła przewagę? Czyżby missyonarze katolicy, zajęci ewangelizacją tej wyspy, mieli być mniej gorliwi od swoich poprzedników?« — Bynajmniej, missya katolicka nie uchybia wcale swoim obowiązkom. Znać dobrze dzielnego jej przełożonego X. biskupa Cazet'a, pod którego rozkazami znajduje się dość liczne grono wytrwałych pracowników. Jedyną ich wadą jest wiek stosunkowo dość podeszły, co nie przeszkadza im jednak dokazywać cudów wytrwałości i energii w ciągłym oczekiwaniu nowych pomocników, którzy niestety, nie spieszą tu wcale. Cóż jednak może zdziałać wytrwałość i odwaga nielicznej garstki ludzi, pozbawionych wszelkich niemal środków i zmuszonych walczyć z prawdziwą armią, hojnie zaopatrzoną we wszystko. Oto, jak się przedstawia obecne położenie missyi katolickiej na Madagaskarze. Przyjaciele nasi

mogą martwić się jej losem, ale nie potrzebują wcale za nią się wstydić.

Wiadomo powszechnie, że wyspa Madagaskar, równie rozległa jak cała Francya, liczy zaledwie pięć milionów mieszkańców. Ze statystyki rozmaitych missyj wynika, że 0,9 tej ludności jest jeszcze pogańską, ponieważ na całej wyspie znajduje się niespełna 300.000 neofitów.

Aż do r. 1868 religia państwowa była pogańską i skoro dwór królewski wychodził z pałacu, niesiono przed nim uroczyscie rozmaite bałwany.

U Malgaszów, podobnie jak u żydów, kult bałwochwalczy odbywał się po za obrębem świątyni u domowego ogniska, lub też na górach i w lasach. Na całej wyspie nie było ani jednego gmachu poświęconego dla bóstwa, chociaż pomimo tego istniało wielu kapłanów strzegących i obsługujących różnorodne bałwany. Na ofiarę składano przeważnie woły, barany i koguty. Pomijam inne praktyki bałwochwalcze, aby zaznaczyć to tylko, że wiele zabobonnych zwyczajów towarzyszy wszystkim ważniejszym epizodom życia krajowców, i że niektórzy z nich, uważani za chrześcijan, dotychczas jeszcze nie zdołali się ich wyrzec.

Po śmierci pogańskiej królowej Rasoheryny, zasiadła na tronie jej następczyni Ranawalona II. Dnia 3 września 1868 r., podczas uroczystej koronacji w Tananarywie, olbrzymia biblia angielska, leżąca na tronie obok jej królewskiej mości, zapowiedziała Malgassom początek nowej ery. Od tej chwili religia państwowa została narzuconą przez jedną z missyj, popieraną gorliwie przez Anglią i reprezentowanych na Madagaskarze przez trzy missyjne stowarzyszenia.

Rzeczywiście w kilka miesięcy później religia państwowa wystąpiła nagle na widownię, jakby za dotknięciem czarodziejskiej laski. W stolicy kraju zbudowano wspaniałą protestancką kaplicę i założono arcybiskupstwo, któremu podlega obecnie dziewięć dyecezyj, każda zaś z nich posiada już w Tananarywie własną swoją świątynię. Niebawem cały zastęp protestanckich kaznodziejów rozpoczął gorliwą działalność i we wszystkich wsiach prowincyi Imeryny zaczęto wznosić świątynie, dokonywając zarazem niesłychanych wysiłków w celu zapełnienia ich jeżeli nie prawdziwymi adeptami, to przynajmniej ciekawymi. Dzięki poparciu ze strony władz rządowych, propaganda protestancka najmniejszych na swej drodze nie napotyka trudności i nagle ludność Imeryny ku wielkiemu swemu zdziwieniu zostaje chrześcijańską.

Ale cóż to był za chrześcijaństwo! Warto w tej mierze przeczytać sprawozdanie sekty independentów, czyli niezależnych. Wyznają oni, chociaż ze wstydem, że tłum napełniający ich świątynię, ulegał raczej namowom ze strony władz rządowych, niżeli głosowi własnego przekonania.

Nawrócenie więc biednego tego ludu było tylko formą bez treści, a zdobycze wszystkich trzech sekt angielskich niezbyt pomyślnie przedstawiały widok. Tu pasterz nader podejrzaney moralnej wartości stanął na czele takiejże samej trzody, tam pędzono do świątyni ludzi jak barany, lub też mieszkańcy przyzwyczajeni do pańszczyzny, spieszyli ochoczo na niedzielne nabożeństwo, jako na pańszczyznę daleko lżejszą od innych.

Cóż to szkodzi? Jeżeli Malgasze nie wyrzekli się całkowicie swoich zabobonów, to w każdym razie zostali wciągnięci do olbrzymiej polityczno-religijnej instytucji, która ich usuwa od wszelkiego katolickiego wpływu, utrduniając niezmiernie rzeczywiste ich nawrócenie.

Przed rokiem 1868 independentci mieli zaledwie 92 parafij, inne zaś sekty mniej pokaźnie jeszcze się przedstawiały. W r. 1870, to jest w parę lat po utworzeniu państwowego anglo-malgaskiego kościoła, independentci mogli już zapisać w swoim sprawozdaniu 621 parafij, 209 pastarów, 1802 kaznodziejów, 20.950 członków kościoła, to jest neofitów przyjmujących już komunję, 231.759 kandydatów, obiecujących się nawrócić, 15.837 uczniów w publicznych szkołach, 9492 dorosłych, umiających czytać i 119.966 fr. 40 centymów, złożonych w przeciągu tego roku przez krajowców za pośrednictwem składek, opłat szkolnych, lub subsydyów na kupno książek.

Warto też widzieć, jaką potęgą cieszy się ten kościół państwowy. Religia przezeń głoszona, została przyjętą przez królową i wszystkich dygnitarzy. W kraju, w którym wszyscy uchylają czoło przed magicznym wyrazem *tenimandiane* (rozkaz królowej), herezyza zyskała sobie stały punkt oparcia i głębokie zapuściła korzenie.

W danej chwili istnieje na Madagaskarze pięć odrębnych missyj, a mianowicie: missya katolicka, missya luterska z Norwegii, oraz trzy missye angielskie, utrzymywane przez anglikanów, independentów i kwaków.

Wszystkie te pięć missyj mają główną rezydencję w Tananarywie, stolicy kraju i wysyłają zamtąd swych pracowników do rozmaitych zakątków wyspy. Missya katolicka cieszy się tam zaledwie pewną tolerancją, gdy przeciwnie, cztery inne missye, a zwłaszcza independentcka i kwakerska, posiadają ogromne przywileje.

Celem czterech missyj antykatolickich jest wspólny wykład tekstu biblij, wydanej przez towarzystwo biblijne pod warunkiem, że każda z nich będzie go później wyłuszczała podług własnego przekonania. Nie dziw też, że wszystkie razem pracowały w Tananarywie nad malgaskim przekładem tej biblij, rozpowszechnionej już obecnie pomiędzy krajowcami.



Madagaskar. — Ścieżka i potrójna brama prowadząca do Ambohimanjaki; podług rysunku O. Taix'a, misyjnarza na Madagaskarze.

Co za nieszczęście dla Tananarywy, stolicy kraju, liczącej przeszło 100.000 mieszkańców, iż została napađniętą, że się tak wyrazimy, przez pięć odrębnych gatunków misyjnarzy, z których wszyscy są *wazaha*, czyli Europejczykami i mienią się prawdziwymi uczniami Chrystusa, oraz opowiadaczami religii, wiodącej do wiecznego szczęścia!

Od r. 1870 przeciwnicy nasi mawiali ciągle do Malgaszów:

»Wiedźcie o tem, że katolicy ukrywają przed wami biblię dlatego, że sami jej się nie trzymają, narzucają wam zabobonne praktyki, nie wymienione wcale w Ewangelii, są nielubieni przez królową, w szeregu zaś ich adeptów można napotkać tylko nędzarzy albo niewolników.

»U nas przeciwnie, macie biblię, jako jedyną podstawę wiary i Ewangelię, wolną od wszelkich dodatków, modlicie się razem z królową i największymi dygnitarzami, oraz zdobywacie sobie prawo do wszelkich przywilejów i zaszczytów. Z nami więc pójdziecie z pewnością wesoło do nieba, gdy przeciwnie u katolików, musicie wieść nędzne życie tu na ziemi i utracić niebo za swe zabobony. Powiedźcież więc teraz, czy się na naszą przechylicie stronę, czy też będziecie uparcie trzymali się Francuzów?»

Wśród młodzieży tej znajdujemy naturalnie wszystkie dzieci wysokich dygnitarzy i urzędników malgaskich.

Budżet 68 członków trzech misyj biblijnych angielskich dochodzi prawie do miliona. Sami tylko independentci, liczący w swym personalu 35 misjonarzy, mieli w roku ubiegłym 599.137 franków i 5 centymów dochodu. Zasługuje też na uwagę, że materyalne ich środki coraz bardziej wzrastają, gdyż w r. 1891 budżet ich wynosił zaledwie 567.001 franków 35 centymów.

Za pomocą opłat szkolnych i kwest w madagaskarskich świątyniach, independentci otrzymali od krajowców w r. 1870 111.606 fr. 87 cent., a w r. 1891 118.115 fr. i 50 cent. (97 i 98 sprawozdanie londyńskiego misyjnego Stowarzyszenia).

Niektóre cyfry z tabeli misyj biblijnych należałoby powiększyć, ponieważ braknie nam sprawozdań kwaków i anglikanów, z których ogłaszano dotychczas tylko pewne wyjątki.

Angielskie misye biblijne wymieniają z dumą jako dowody swej dobroczynności, następujące gmachy i zakłady:

Pięć świątyń z ciosanego kamienia, a między niemi katedrę i dwie wspaniałe świątynie, otoczone pięknymi bulwarami.

Dwa ogromne kolegia i dwie szkoły wyższe.

Dwie szkoły dla dziewcząt z wyższych warstw społeczeństwa.

Trzy drukarnie, z których dwie urządzone zostały na ogromną skalę.

Dwa wspaniałe szpitale i t. d., i t. d.

W chwili, gdy misya katolicka z powodu braku funduszów nie może utworzyć żadnej stacyi misyjnej, antykatolickie jej współzawodniczki rozciągają coraz bardziej zakres swego działania. Szpital dla trędowatych, zbudowany w ostatnich czasach przez independentów, nowa misya na wybrzeżu zachodnim, założona przez anglikanów, rozmaite zakłady dobroczynne, zorganizowane przez kwaków, coraz większy wzrost budżetu, jak również ilości adeptów i misyjnych posterunków, wszystko to świadczy, niestety, o nader szybkich postępach herezyi.

Do misyj utrzymywanych przez anglikanów, independentów i kwaków, oraz przez państwowy kościół anglo-malgaski, dodajcie jeszcze misyę luterską z Norwegii z 1130 nauczycielami krajowcami i 37.487 uczniami, nie rachując w to miejscowego poganizmu i ateizmu, pochodzącego z zewnątrz, a będziecie mieli pojęcie o siłach nieprzyjacielskich, skoalizowanych przeciw misyi katolickiej na Madagaskarze.

Personal misyi katolickiej przedstawia się w danej chwili w następujący sposób:

49 Ojców z naszego Zakonu, a między nimi jeden biskup.

19 Braci koadjutorów.

19 Braci szkół chrześcijańskich, utrzymujących szkoły w Tananarywie, Tamatawie i Fianarantsoi.

27 Sióstr od Św. Józefa z Cluny.

641 malgaskich nauczycieli i nauczycielek.

17.338 uczniów w szkołach katolickich (wobec 92.316 uczniów misyj biblijnych i 37.487 uczniów misyi luterskiej).

130.669 neofitów katolickich i katechumenów.

Dodajmy jeszcze do tego przeszło 600 szkółek elementarnych, 9 szkół normalnych, które już dostarczyły krajowi wybornych tłumaczy i nauczycieli, kolegium, w którym się kształci miejscowe duchowieństwo wraz z nauczycielami szkół wyższych, obserwatorium astronomiczne, utrzymujące ciągłe stosunki z obserwatorium paryskim, drukarnię, w której pracuje 20 krajowców, szpital dla trędowatych w pobliżu Tananarywy ze 150 chorymi, drugi szpital w prowincji Betsyleosów, którego budowę właśnie rozpoczęto i cztery nie wielkie kliniki, w których misjonarze udzielają chorym porady lekarskiej.

W skład budżetu wynoszącego 200.000 franków, wchodzi 110.000 fr., przesyłanych przez Stowarzyszenie rozkrzewiania wiary, 70.000 fr. otrzymywanych od Stowarzyszenia Św. Dzieciństwa i 20.000 fr., wziętych z funduszu, przeznaczonego na utrzymywanie szkół na Wschodzie.

Niestety, cóż znaczą te cyfry w porównaniu do budżetu misyj antykatolickich! Słusznie rzec o nas można, że stanowimy malutką zaledwie trzódkę, czyli tak zwane *pusillus grex*. A jednak za łaską Dobrego Pasterza, czuwającego nad nami, jak również dzięki poświęceniu i gorliwości naszych kapłanów, misya katolicka może słusznie się pochlubić apostolską swą działalnością, ona to bowiem kształci najlepiej dzieci, głosi Ewangelię ubogim, a zarazem pielęgnuje najbardziej opuszczonych chorych, to jest trędowatych.

Oto kilka szczegółów o szpitalu dla trędowatych w Ambahiworace w pobliżu Tananarywy. Aż do dnia 1 lipca roku bieżącego znajdowało się tam 115 katolików i 20 katechumenów. W ciągu ubiegłego roku ochrzczono w tym zakładzie 32 dorosłych i 5 dzieci, wysłuchano 930 spowiedzi, oraz udzielono 778 komunij, a między niemi 16 pierwszych Komunij i 91 wielkanocnych. Wreszcie pobłogosławiono 13 małżeństw, 18 zaś chorym udzielono Sakramentu Ostatniego Namaszczenia.

Dotychczas mieszkańcy dobroczynnego tego zakładu utrzymywali się ze wspaniałomyślnych jałmużn, utrzymanie zaś każdego z nich kosztuje przeciętnie 30 franków. Niech nam więc będzie wolno podziękować na tem miejscu szlachetnym naszym dobroczyńcom.

Obecnie w pobliżu Fianarantsoi kończymy budowę drugiego szpitala dla trędowatych, który w prowincyi

Betsileosów wyda niebawem także same owoce, jakie podziwiano dotychczas w prowincyi Imerynie. Cieszcie się więc szlachetne dusze, którym zakład ten zawdzięcza swoje założenie, a nawet na pewnej mierze i dalszą egzystencję. W nowym szpitalu 30 franków rocznie wystarczy na utrzymanie jednego trędowatego, zbytecznem zaś byłoby mówić, jak obfite błogosławieństwo Niebios spłynęło na każdą rodzinę, która tak szlachetną złoży jałmużnę.

W przeciągu lat ośmnastu my tylko jedni na całym Madagaskarze opiekowaliśmy się trędowatymi, stanowiącymi dotychczas jakby nasz monopol. W roku bieżącym independencji, pragnąc i na tem polu z nami współzawodniczyć, zakładają własny szpital dla trędowatych w Imerynie. Kiedyż my ze swej strony będziemy mogli wznieść choć jeden szpital w Tananarywie, gdzie protestanci aż dwa posiadają?

Od lat już wielu nie mogliśmy założyć ani jednej stacyi misyjnej. Niejednokrotnie misjonarz katolicki, którego ludność prosi o oświecenie jej w wierze, musi jej z boleścią odpowiedzieć: »Nie możemy dla was zbudować ani kościoła, ani szkoły«. Nic też dziwnego, że ciż sami krajowcy przechylają się następnie na stronę herezyi. Jakże bolesnem jest to, że missya katolicka od samego niemal początku została skazana na nędzną wegetację, gdy tymczasem jej przeciwnicy coraz to nowe osiągnęły zdobycze! — Racz wyrzec jedno tylko słowo, o Panie, w nieprzebranem swem miłosierdziu, a missya katolicka odżyje!

Missya w Sonderbonds,

podług sprawozdania O. Canoy, misjonarza w Bengalu.
(Dokończenie).

Jeżeli czytelnicy chcą poznać dokładniej jedną z misyj katolickich w Sonderbonds, to za przedmiot naszych studyów weźmy stacyą misyjną w Morapai.

Leży ona o milę od dworca kolei żelaznej w Mogra-Hat, otoczonego łądnemi i eleganckimi werandami, na połowie drogi pomiędzy Kalkutą a Diamond-Harbour, przy ujściu rzeki Hoogley. Pasażerowie podróżujący tą drogą, rekrutują się przeważnie z krajowców, którzy toczą ciągłe procesa ze swymi sąsiadami. Kolej ta podczas powodzi jest prawdziwem dobrodziejstwem nawet dla osób wędrujących pieszo, gdyż teren jej na 4 metry wysoki, jest największą wyniosłością w całej okolicy.

Morapai, podobnie jak i wszystkie inne wioski w Sonderbonds, składa się z mnóstwa malutkich wysepek, ocienionych wyniosłemi drzewami. Kilkanaście stawów i kanałów urozmaica niezmiernie krajobraz, nadając mu pewną cechę podobieństwa do najbardziej malowniczych miejscowości w Holandyi. Na jednej z wysp,

stanowiącej terytoryum misyjne, wznosi się wśród palmowego gaju kościół pod wezwaniem Najświętszego Serca, ozdobiony wewnątrz przepysznemi bizantyńskimi freskami. Dalej nieco ciągnie się ogród, na lewo zaś od kościoła widać szkołę i rezydencję misyjną, w której misjonarze wraz ze swymi uczniami szukają schronienia przed deszczem lub skwarem słońca. Kościół jest prawdziwem arcydziełem sztuki na gruncie złożonym z ruchomych napływowych warstw piasku. Istotnie wielkiej potrzeba było biegłości w architektonicznej sztuce, aby na tak wątlej podstawie wznieść olbrzymie i wspinałe mury. Na szczycie świątyni wznoszą się trzy krzyże, urągając śmiało gwałtownym wichrom, wiejącym od morza w okresie *mussonów*.

Ileż to razy katolicycy wioślarze płynąc po lazurowej toni kanałów, witali tu z radością te trzy godła wiary i zbawienia!

Stacya misyjna w Morapai zawdzięcza swe istnienie Ojcu J. Banckaert z Brygi (Brugus), jednemu z najstarszych misjonarzy w Sonderbonds.

Po dwunastoletniej gorliwej pracy w tym zakątku Indyi, niezmordowany kapłan otrzymał w ostatnich czasach nominację na przełożonego misjonarzy w Bengalu zachodnim. Na miejsce jego przybył do Marapai dawny misjonarz z Ragharpore, O. Deprins, zastępcą zaś tego ostatniego został mianowany O. Maene.

Życie misjonarzy w tych bagniskach i niezdrowych okolicach wprawdzie obfituje w troski i kłopoty, jednak ileż ci kapłani położyli tam zasług, ile nowych ognisk Chrystyanizmu zdołali stopniowo utworzyć! Ileż to razy musieli się puszczać w wątlą pirogu na wzburzone fale rzeki Multy, rozliczne jeziora, lub przebywać pieszo moczary i zarośla, w których można było lada chwila napotkać tygrysa.

Nieraz się zdarzało, że wówczas właśnie, gdy mieli do przebycia nieznane sobie bagniska, nagle gęsta zalegała mgła i nieszczęśliwi błakali się długo, nie wiedząc, gdzie się znajdują. Niektórzy z nich nawet płynąc w lekkim pirogu po jeziorach lub rozległych obszarach zalanych wodą, musieli walczyć z gwałtownym prądem, dopóki wzburzone fale nie wyrzuciły ich łodzi na jakąkolwiek wysepkę, gdzie długo nieraz musieli oczekiwać pomocy.

Gdy w r. 1887 po cyklonie nastąpił głód, misjonarze nasi nie szczędzili trudów i usiłowań, aby w sercach mieszkańców Indyi wschodnich, a zwłaszcza Kalkuty, obudzić litość dla biednych swych chrześcijan. Wreszcie urzędnicy angielscy udzielili pewnego zasiłku pod warunkiem, aby misjonarze zajęli się sami rozdawaniem zboża, pożyczonego przez rząd pomiędzy nieszczęśliwą ludnością. Łatwo się domyślić, ile trudów i przykrości kosztowało wypełnienie tego obowiązku.

Misjonarzom również zawdzięczają krajowcy wykopanie kanału, z inicjatywy ich bowiem władze an-

gielskie przedsięwzięły tę robotę, aby dostarczyć zgłodniałym jakiegokolwiek źródła zarobku. Cóż więc dziwnego, że w całym kraju cieszą się nasi kapłani szacunkiem i uznaniem.

Atoli pomimo tak wielkich zasług, nie brakło im nieprzyjaciół. Jeżeli jednak kilku niegodziwych apostatów, zamieszkałych w najbliższym sąsiedztwie, wytaczało misyjonarzom coraz to nowe procesa, lub obsypywało najbrutalniejszymi obelgami, na jakie tylko usta bengalskie zdobyć się mogą, to z drugiej strony dzięki

ciągłym procesom, przełożeni misyjnych posterunków zdobyli gruntowną znajomość miejscowego prawa, która pozwoliła im nieraz stawać w obronie swych wiernych, prześladowanych przez pogan. Słusznie też później mawiali z uśmiechem, że na całym terytoryum misyjnym nie było ani jednej piędzi ziemi, której przed kratkami sądowymi nie musieliby bronić.

Dziś już stosunki znacznie się zmieniły. Poganie zamieszkałi w wioskach, namyślają się długo wprzód, niż się zdecydują wytoczyć jakiś proces chrześcijanom,



Madagaskar. — Typy niewiast z plemienia Betsileosów i ich fryzury; podług rysunku O. A. Taix'a, misyjonarza na Madagaskarze.

względny zaś spokój zawdzięczają neofici jedynie opiece swych misyjonarzy.

Jakeśmy to już wyżej powiedzieli, Morapai i Raghabpore, stanowią dwa główne ogniska misyjne, z których nasi Ojcowie wyjeżdżają od czasu do czasu w celu zwiedzenia innych stacyj misyjnych w tej krainie.

Podróż taka odbywa się najczęściej w wązkim pirogu, w pośrodku którego stoi niekształtny taburec, i który za każdym silniejszym uderzeniem fali do połowy napełnia się wodą. Głuchą ciszę przerywa tylko monotony plusk wody przy miarowym poruszaniu wiosłami i łódź mknie coraz dalej a dalej, wśród pól ryżowych, lub wsi rozrzuconych tu i owdzie między kanałami.

Wieczorem misyjonarze wylądowują na jakiejkolwiek wysepce i podążają do chaty pokrytej słomą, a noszącej szumną nazwę kaplicy, w której jedynym sprzętem jest ubożuchny ołtarz, oraz krzesło, zastępujące miejsce konfesyonału. Tam nieraz do późnej nocy rozmawiają z chrześcijanami, którzy stoją przed nimi z głębokim uszanowaniem, właściwie Bengalczykom, dają im lekarstwa lub słowa pociechy, słuchają ich spowiedzi i t. p. Noc upływa misyjonarzom w tejże samej kaplicy, drżącej za każdym powiewem wiatru, na macie rozpostartej u progu.

O świcie kapłani odprawiają już Mszę św. w gronie pocziwych neofitów, korzących się przed Zbawicielem, utajonym w Przenajśw. Sakramencie. Po nabożeń-

stwie odbywa się krótka nauka, w której nasi Ojcowie starają się pocieszyć tych nieszczęśliwych, wydzielonych ludzi nadzieją szczęścia w życiu przyszłym.

Wkrótce jednak missyjonarze muszą w dalszą puścić się podróż, gdyż nader znaczną jest liczba wiosek, których mieszkańcy z upragnieniem oczekują Mszy św. Nieraz się zdarza pocziwym kapłanom odbywać podróż naczczó, aby módz w najbliższej wiosce Mszę św. odprawić.

W samej zresztą rezydencji missyjnej bynajmniej missyjonarzowi nie zbywa na pracy. Nauka dziatwy, udzielanie lekarskiej porady chorym, uprawa jarzyn w niewielkim ogródku, przyrządzanie lekarstw, oraz tyśiączne inne tróski i zajęcia gospodarcze, oczekujące go po powrocie z każdej podróży, pochłaniają mu czas tak dalece, że nieraz z trudnością zdoła znaleźć chwilę na odprawienie pobożnych swych ćwiczeń.

W wigilię większych uroczystości, missyjonarze więcej jeszcze mają do czynienia. Wówczas bowiem pod ich kierunkiem całe wnętrze kościoła zostaje przyozdobione chorągwiami i kwiatami, jak gdyby chciało współzawodniczyć pod względem piękności ze świątynią Najświętszej Panny w Lourdes.

Wieczorem w wigilię każdej uroczystości odbywają się nauki i spowiedzi, trwające niekiedy aż do późnej nocy. Wówczas w tajemniczym mroku świątyni i wśród uroczystej ciszy odkrywają się przed kapłanem wzniosłe tajemnice łaski Bożej, objawiające się bądź w pełnym skruchy pojednaniu się z Bogiem, bądź też w przedziwnej stałości w wierze, która w kraju przesiąkniętym jeszcze dotąd pogańskimi zasadami, nader doniosłe posiada znaczenie.

O świcie dzwon kościelny wzywa na nabożeństwo i wierni zaczynają stopniowo napływać do świątyni. Jedni z nich przystępują do Stołu Pańskiego, drudzy z pobożnem skupieniem ducha przyglądają się pierwszej Komunii dzieci, albo uroczystemu obrzędowi Chrztu dorosłych. Gdy zaś po nabożeństwie cały tłum pobożnych zacznie śpiewać z zapalem hymny na cześć swego Stwórcy i Najśw. Panny, którym towarzyszą odgłosy bębnów i poważne dźwięki cymbałów, wówczas missyjonarz radosne składa dzięki Bogu za tak piękne objawy pobożności swoich neofitów.

Wieczorem chrześcijanie zbierają się znowu w pobliżu świątyni, aby zakończyć dzień uroczysty tak zwaną *džatrá*. Jestto przedstawienie dramatyczne, zaczerpnięte z historii świętej i odgrywane w pierwszym lepszym namiocie ku wielkiej radości wesołych i dowcipnych krajowców, którzy mu się przypatrują z zajęciem.

Naturalnie pod względem artystycznym, przedstawienia takie bardzo wiele pozostawiają do życzenia. Aktorowie nawet nie mając wyłącznie przeznaczonej dla siebie sceny, zasiadają bez ceremonii wpośród widzów, pomiędzy bengalskimi bębnami i skrzypcami, lub wobec

całej publiczności przywdziewają nader prymitywne kostiumy, uszyte na prędcie z muslinu i kolorowego papieru. Gdy na nich wypadnie kolej, wówczas improwizowani artyści dramatyczni wstają, wygłaszają kilka słów ze swej roli i w chwili najbardziej patetycznej, wracają znowu na dawne miejsce, ażeby chórem odśpiewać to, co następnie będą mówili. Dla Bengalczyków jednak podobny nieład w odgrywaniu sztuki, nie przedstawia nic rażącego, każda zaś *džatra* wprawia ich w stan prawdziwie wschodniego zachwyty, każącego im nawet zapominać o wieczery. Zresztą niezmordowani śpiewacy mogą się poszczycić bogactwem swego repertuaru. Pieśni przez nich wykonywane zyskały sobie już oddawna popularność w całym kraju, za zaletę zaś poczytać należy, że opiewają one niemal zawsze wielkość Boga, lub rozmaite cnoty wiernych Jego sług.

Wprawdzie melodia tych bengalskich rapsodów razi nieco europejskie ucho missyjonarza, jednakowoż po skończeniu ostatniego aktu, gdy wszyscy obecni zaczęli odmawiać modlitwy wieczorne pod lazururowem sklepieniem, ozłoconem gwiazdami, wówczas wzruszony kapłan błogosławi z całego serca pocziwym swym owieczkom, w których duszy prawdziwa pobożność głębokie zapuściła już korzenie.

Charakterystyczną i wielce pocieszającą cechą uczt bengalskich jest to, że nigdy niemal żaden Bengalczyk, nawet poganin się nie upija. Chociaż bowiem handlarze trunków przebiegają nader często wszystkie zakątki kraju, ofiarując każdemu swój towar, ale ubóstwo krajowców nie pozwoliło dotąd pijaństwu zyskać sobie we wsiach prawo obywatelstwa. Dla tego też Sonderbonds należy do tych nielicznych na ziemi krain, w których wstrętny nałóg pijaństwa jest prawie nieznany.

We wszystkich, nawet najuroczystszych obchodach i ucztach daje się spostrzegać ubóstwo naszych wiernych. O, gdyby osoby, czytające te słowa, mogły wziąć udział w najwspanialszych rodzinnych uroczystościach, jak na przykład w bengalskim obchodzie weselnym, gdyby mogły widzieć tutejszych krajowców, siedzących w półkolu na ziemi i zajądających z apetytem nędzny ryż, lub kawałek ryby i parę łyżek kwaśnego mleka, wówczas może uczułyby dla nich litość i współczucie. Uczty bowiem naszych Bengalczyków są bardziej jeszcze skromne, niż najskromniejsze *agapę* w pierwszych wiekach Kościoła, dla którego św. Paweł zbierał z takim poświęceniem jałmużny w azyatyckich krajach.

Widok tych przysmaków biednych naszych chrześcijan dałby czytelnikowi do zrozumienia, że codzienne ich pożywienie nędźniejszym jeszcze być musi. Nie zapominajmy zaś, że corocznie niemal w zapadłym tym zakątku panuje głód i najniezbędniejszych nawet artykułów żywności nie można tam zdobyć na wagę złota.

Łatwo zrozumieć, że niedostatek wypędza dziś jeszcze niejednego Bengalczyka katolika z rodzinnej

wioski do Kalkuty. Corocznie mnóstwo mieszkańców Sonderbonds szuka jakiegokolwiek zajęcia w agencjach, sklepach, drukarniach, biurach i t. p. wielkiej indyjskiej stolicy. Los ich tam, niestety, nie jest wcale do pozazdroszczenia. Rzućmy na chwilę okiem na tych nieszczęśliwych.

Obecnie mamy w Kalkucie około 4000 chrześcijan krajowców, to jest Bengalczyków, Hindusów z Dakki i Madrasu, z których jedni pozostają na służbie u Europejczyków lub niższych miejscowych urzędników, większa zaś część zostaje rzuconą przez rozmaite okoliczności na pastwę najokropniejszej nędzy.

Nie należy jednak identyfikować tych katolików krajowców z tak zwanymi Eurozyanami. Nazwa ta oznacza Hindusów, którzy przybrali już europejskie imiona i nazwiska, przyjęli europejski tryb życia, ubierają się podług ostatniej mody paryskiej, mówią po angielsku, wymyślają jakichś europejskich przodków, z charakterystycznych zaś cech hinduskich zachowali tylko dawny kolor skóry. Oni to stanowią właśnie część dwunastotysięcznej ludności katolickiej w Kalkucie. Dla nich też po większej części zostały utworzone nasze ochronki, przytuliska, Stowarzyszenia św. Wincentego à Paulo, szpitale, kościoły, kaplice i t. p.

Przed 30 laty, to jest w chwili założenia misyi, był to niezbędny środek uchronienia tych nieszczęśliwych od zdradzieckich sieci, zastawionych przez rozmaite misye protestanckie. Natomiast nasi Bengalczyki i Madrassi przybywający do Kalkuty, są prawdziwymi Hindusami, którzy żywią się, ubierają, mieszkają i pracują na sposób hinduski, włączając się jak błędne owce po ulicach Kalkuty. Z jednej strony biedni ci ludzie wystawieni są na nędzę i opuszczenie w razie choroby, z drugiej zaś na mnóstwo pokus, w jakie hinduski Babilon obfituje, jak również na ciągłe zdradzieckie namowy niezliczonych agentów misyj protestanckich.

Naturalnie misyjonarze nasi otaczają biedne te owieczki jak największą troskliwością i opieką...

KONIEC.

LISTY Z AUSTRALII

X. Stefana Marschner'a do X. A. L. w Krakowie.

(Dokończenie).

—o—o—o—

X.

Kooringa w południowej Australii
dnia 6 kwietnia 1893 r.

Mam nadzieję, że Przewielebny Ojciec odczyta z zajęciem kilka szczegółów i statystycznych danych, zaczerpniętych z naszego kościelnego i religijnego życia w Australii. Jak wszędzie zresztą, tak też i tutaj katolicy muszą toczyć zaciętą walkę z bezwyznaniową, atei-

styczną szkołą państwową. W szkołach, utrzymywanych kosztem publicznym, wykluczono całkowicie wykład religii z programu nauk dla młodzieży; jeźliby nauczyciel odważył się odmówić z dziećmi króciutką modlitwę, lub kazał im się przeżegnać, poczytanoby mu to z pewnością za zbrodnię nie do darowania. W mojej stacyi misyjnej nauczycielem jest pewien gorliwy katolik, któryby w wykładzie religii mógł wyręczać mnie niekiedy. Zwróciłem się więc do ministra oświaty z prośbą, aby pozwolił memu nauczycielowi po ukończeniu lekcji w szkole wykładać katolickiej dziatwie w naszym kościele główne zasady katechizmu, ponieważ ja sam zaledwie raz w przeciągu dwóch tygodni mogę tego dopełnić. Odpowiedziano mi jednak, że żaden nauczyciel nie może uczyć religii nietylko w szkole, ale i po za jej obrębem.

W wielu miejscowościach katolicy mają własne szkoły, nie o wszystkich jednak zakątkach kraju da się toż samo powiedzieć. W Nowej Zelandyi kwestya szkolna powołała do życia nową organizację polityczną, znaną pod nazwą wyznaniowej ligi.

Podstawę tej ostatniej tworzą katolicy, nie przeszkadza to jednak wcale, że i wielu protestantów do niej należy. Celem jej jest wskrzeszenie szkoły wyznaniowej i zapewnienie rządowego wsparcia dla wszystkich szkół prywatnych, w których wykład nauk świeckich, zastosowany został do programu szkół publicznych.

Liga nie uwzględnia żadnych politycznych stronnictw, nie troszczy się wcale o liberałów lub konserwatystów i zastrzegłszy sobie stanowisko całkiem niezależne, dąży prostą drogą do swego celu, to jest do utworzenia szkoły wyznaniowej. Kwestya ta zjednoczyła pod jednym sztandarem wszystkich katolików nowozelandzkich tak, że nawet zwolennicy bezwyznaniowej szkoły państwowej zaczynają ich się obawiać i skupiać się razem dla wspólnej obrony. Powodzenie katolików nowozelandzkich wywarłoby wpływ zbawienny na kolonie australskie i przyczyniłoby się może do obalenia u nas bezwyznaniowej szkoły państwowej.

W chwili obecnej Arcybiskup Adelaidy X. Krzysztof Augustyn Reynolds jest niebezpiecznie chory, tak, że lada dzień można się spodziewać jego zgonu, tem bardziej, że jest to człowiek już nie młody, bo przeszło 60-letni. U łoża jego czuwa dniem i nocą Brat Pölzl z naszego Zakonu.

Kolonia południowo-australska liczy około 320.000 mieszkańców, między którymi znajdują się przedstawiciele piętnastu rozmaitych wyznań. Kościół katolicki posiada 50.000 wiernych, anglikanie mają 90.000 adeptów, wesłanie 25.000, metodyści 11.000, luteranie 26.000, prezbiterianie 18.000, kongregacyoniści 12.000, chrześcijanie biblijni 16.000, baptyści 17.000, członkowie tak zwanego »Chrystusowego Kościoła« 3000, unitaryusze 300, żydzi 800, członkowie Armii Zbawienia 4000,

protestanci nieoznaczonego wyznania 5000, inne religijne sekty 22.000.

Archidiecezja Adelaidy obejmuje 22 powiaty i zawiera w swoim obrębie 59 kościołów, obsługiwanych przez 29 księży świeckich, 9 zakonników i 15 braci zakonnych. Nadto posiada 159 zakonnic, internat dla chłopców, 3 internaty dla dziewcząt, 4 szkoły wyższe, 37 szkółek elementarnych i 3 gimnazje klasyczne. Do szkół katolickich uczęszcza 4527 dzieci, cyfra zaś katolickiej ludności wynosi 35.762 osób.

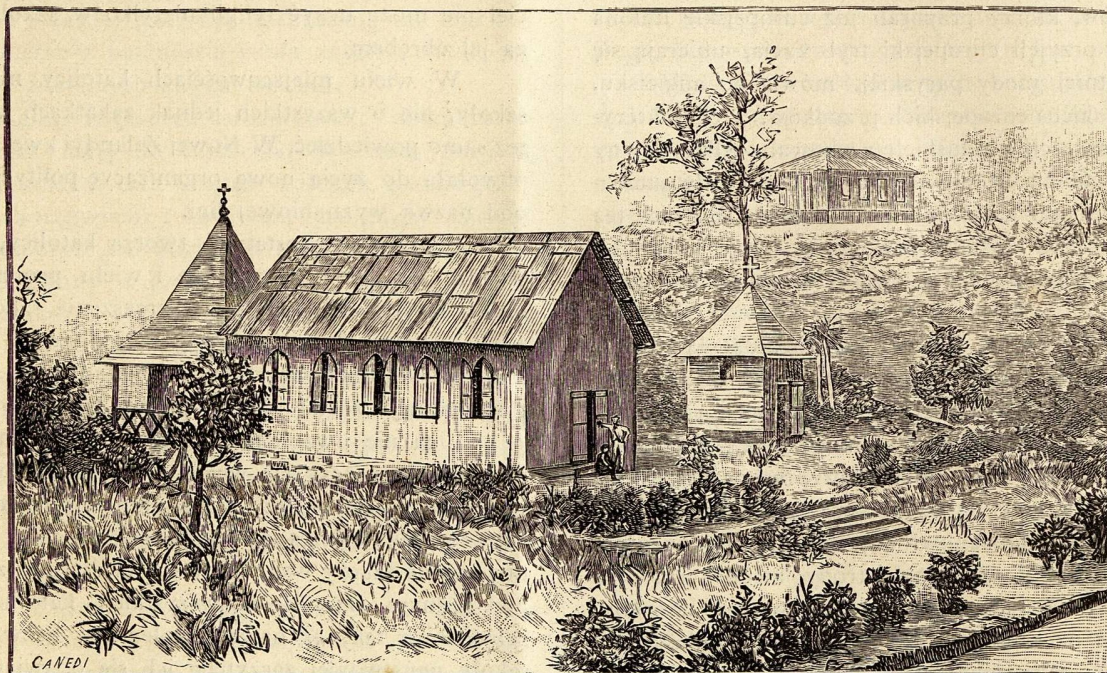
Prowincja Sydney liczy 250.000 katolików, prowincja Melbourne 166.000, prowincja Adelaida 60.000,

a prowincja Brisbane 65.000. W całej wreszcie Australii, oraz na południowych wyspach Spokojnego oceanu, znajduje się obecnie 708.441 katolików.

XI.

Kooringa dnia 8 sierpnia 1893 r.

Zapewne doszła już do was wieść o śmierci naszego Arcybiskupa X. Dra Reynolds'a, która nastąpiła dnia 12 czerwca roku bieżącego. Dotąd jeszcze nie wiemy, kto będzie jego następcą, ale podług ogólnego mniemania, na osieroconą arcybiskupią stolicę w Adelaidzie, zostanie powołany X. Dr O'Reilly, biskup z Port-Augusta.



Wyspy Sejszelskie (koło Madagaskaru). — Kościółek N. S. Pana Jezusa, miejsce sławne z pielgrzymek pobożnych chrześcijan z Madagaskaru.

Materyalne położenie Archidiecezji Adelaidzkiej bardzo smutnie się przedstawia, cięży bowiem na niej dług w kwocie 45.000 funtów sterlingów. Ludność katolicka jest po większej części ubogą, czasy zaś zamiast się polepszyć, coraz gorsze się stają. Dodajmy do tego brak szkół katolickich i bezwyznaniowy system szkół państwowych, a zrozumiemy z łatwością, że w takich okolicznościach im wyższe zajmuje się stanowisko, tem większy ciężar dźwigać potrzeba.

Od pięciu tygodni O. Mac Killop, przełożony naszej misji wśród krajowców północnej Australii, bawi pomiędzy nami, zbierając pieniądze na pokrycie wydatków misyjnych. W tak złych jednak, jak obecne czasy, trudno się spodziewać, aby uciążliwa jego podróż pomyślnym uwieńczyła się skutkiem.

Do poprzednich posiadłości misyjnych, zarząd

kolonialny dodał w ubiegłym miesiącu około 500 akrów. Teraz więc oprócz obszaru mającego 100 mil kwadratowych przestrzeni, który misja posiada na lewym brzegu Daly, terytorium jej na prawym brzegu tej rzeki do tak znacznych doszła rozmiarów, że idąc prędko, zaledwie w półtora godziny można je obejść dokoła.

Posiadłość misyjna na lewym brzegu rzeki bardzo niewielką posiada wartość, ale natomiast świeżo otrzymane terytorium, zawiera w swym obrębie najżyźniejsze grunta z całej okolicy. Największą trudność przedstawia zaopatrzenie się w wodę, ponieważ deszcze bardzo nieregularnie padają i częstokroć w przeciągu kilku miesięcy trwa bez przerwy posucha. Później natomiast rozpoczynają się okropne ulewę i cała okolica zamienia się w olbrzymie jezioro na 3 do 15 stóp

głębokie. — Srebrzysta powierzchnia rzeki Daly, która w suchej porze roku leży o 33 stopy poniżej brzegów,

w okresie deszczowym podnosi się o 3 stopy po nad brzegami i występuje z łożyska.



Madagaskar. — Typ niewiasty z plemienia Howasów; podług rysunku O. Taix'a.

Pragnąc dostarczyć naszym jarzynom, uprawianym w ogrodzie, dostatecznej ilości wody, O. Mac Killop kupił w ostatnich czasach maszynę parową, której siła ma się wyłącznie użytkowywać na pompowaniu wody z rzeki Daly. Prężność pary zawartej w kotle równa się sile 20 koni.

W roku bieżącym krajowcy nasi otrzymali ze swo-

ich gruntów nader pomyślny zbiór kukurudzy i afrykańskiego żyta, tak, że nawet mogli wysłać kilka tonn własnego zboża na sprzedaż do Palmerstonu.

Dotąd jeszcze komunikacja pomiędzy misją a cywilizowanym światem niezmiernie jest utrudnioną. Dla tego też O. Mac Killop dokłada starań w celu nabycia niewielkiego parowca, zapomocą którego możnaby w każ-

dej porze roku utrzymywać w miarę potrzeby komunikację z Palmerstonem. Pomyślne tegoroczne żniwa zachęciły krajowców do dalszej pracy i pozyskały dla naszej stacji misyjnej kilku nowych osadników. Apostolska praca wymaga wiele wytrwałości i cierpliwości.

XII.

Kooringa dnia 3 października 1893 r.

W ubiegłym miesiącu najprzewielebniejszy nasz biskup Dr Jan O'Reilly w Port Augusta, wydał okólnik do duchowieństwa w swojej dyecezyi, polecając w nim jak najgoręcej wspaniałomyślności wiernych naszą misję nad Daly-River pomiędzy krajowcami północnej Australii. Okólnik ten poprzedza krótki rzut oka na obecny stan misyi, z którego następujące przytaczam wyjątki:

Missya nad Daly-River zawiera 435 akrów, nabytych drogą kupna, oraz około 900 akrów wydzierżawionych przez zarząd kolonialny. Z terytorium tem graniczy znaczny obszar gruntów, przeznaczonych wyłącznie dla użytku krajowców.

Missya ta leży o 60 mil niespełna od ujścia rzeki Daly, oraz o 150 mil (wodą) od Port Darwin, leżącego nad tą samą rzeką. Założycielem misyi nad Daly-River był O. Antoni Strele, obecnie zaś pozostaje ona pod kierunkiem O. Mac-Killopa, jako swego przełożonego. Personal misyjny składa się z czterech Ojców i siedmiu Braci z tegoż Towarzystwa. W obrębie misyi mieszka obecnie 16 rodzin, trudniących się uprawą roli, a nadto ośmiu młodzieńców uczy się tam rolnictwa teoretycznie i praktycznie. Do szkoły uczęszcza 30 dzieci, utrzymywanych kosztem misyi. — Oprócz rozmaitych przedmiotów naukowych, dziatwa uczy się również różnorodnych robót, zastosowanych do ich wieku i zdolności.

Każdego rana odprawia się Msza święta, na którą się schodzą wszyscy krajowcy, po nabożeństwie zaś jeden z misjonarzy wygłasza krótką katechizmową naukę. W niedzielę śpiewają krajowcy Mszę Haydna w ojczystym swym języku, nabożeństwu zaś nieszpornemu również towarzyszą śpiewy.

W r. 1892 Chrzest święty otrzymało 10 dzieci i 12 osób dorosłych, z pomiędzy zaś tych ostatnich ośm zostało ochrzczonych w niebezpieczeństwie śmierci. Nadto rozdano przeszło sto Komunii świętych i pobłogosławiono trzy chrześcijańskie małżeństwa. Sakrament Ostatniego Namaszczenia raz tylko w przeciągu całego roku został udzielony.

Na przestrzeni wchodzącej w zakres misyjnej działalności, mieszkają trzy dość liczne plemiona, osiadłe po obu brzegach rzeki Daly. Dwa z tych plemion mówią jednakowym językiem, mowa zaś trzeciego plemienia nie wiele od niego się różni. Ponieważ misjonarze

wyuczyli się już gruntownie języka krajowców, z łatwością przeto mogą się porozumiewać z dzikimi, wiodącymi dotąd koczownicze życie i uczyć ich zasad religii. Nawet plemiona dalej nieco osiadłe, okazują misjonarzom głęboki szacunek, przyprowadzają do nich swe dzieci, prosząc, aby je ochrztili i po chrześcijańsku wychowali, a nawet przed śmiercią domagają się Chrztu świętego, chociaż za życia z rozmaitych przyczyn nie chcieli być chrześcijanami.

Od chwili swego założenia missya utrzymywała się z uprawy własnych gruntów, jak również z jałmużn udzielanych przez wspaniałomyślnych austriackich katolików, a zwłaszcza przez Ojców z naszego Zakonu, zamieszkałych w Austrii. Corocznie też otrzymywała pewne wsparcie ze składek zbieranych przez Jego Eminencję kardynała Moran w rozmaitych dyecezyach australskich, w celu rozkrzewiania misyjnej działalności pomiędzy krajowcami. Wreszcie budżet misyi zasilala corocznie nie wielka stosunkowo kwota, uzbierana przez O. Mac Killopa pomiędzy katolicką ludnością w południowo australskich prowincjach.

Mam nadzieję, że okólnik X. biskupa O'Reilly przyniesie naszej misyi prawdziwy pożytek. Zresztą materyalne położenie misyi można już obecnie uważać za nie złe, ponieważ z jednej strony składki zbierane przez kardynała Morana i O. Mac Killopa, zapewniają jej corocznie 300 funtów sterlingów dochodu, z drugiej zaś grunta misyjne coraz lepsze i obfitsze wydają plony.

KONIEC.

Z KOCHINCHINY.

—o*o—

Mamy nadzieję, że przytoczone przez nas poniżej ustępy z listu kochinchinśkiego misjonarza, miłego u czytelników doznają przyjęcia. Trudno istotnie znaleźć coś bardziej rozrzucającego, jak opis apostolstwa O. Guerlacha wpośród anamskich górali, tudzież obraz postępów świętej naszej wiary w odległym tym zakątku Indo-Chin środkowych. — Przedewszystkiem zwracamy uwagę na ustępy, w których jest mowa o anamskich księżętach, prześladowanych tak okrutnie za swe nawrócenie i bohaterską stałość. Niepodobna zaiste czytać obojętnie tego wzniosłego epizodu, który zdaje się być zaczerpnięty z aktów męczeńskich pierwszych wieków Kościoła.

Missya Bahnarska wchodzi w skład wikaryatu apostolskiego wschodniej Kochinchiny, liczącego obecnie 27 europejskich misjonarzy, 15 kapłanów krajowców, 34 stacyj głównych i 130 podrzędnych, oraz 71 świątyń i 25.600 wiernych.

List X. Guerlacha z Kongregacji missyj zagranicznych w Paryżu.

Początek mego apostołstwa niezmiernie był uciążliwy, natychmiast bowiem po przybyciu, w nader niemiłym znalazłem się położeniu, na domiar zaś złego dostałem niebawem tak zwanej leśnej febry. Dziwna to choroba! Nie braknie w niej ani dreszczów i gorączki, ani maligny i wymiotów, słowem najnieprzyjemniejszych rzeczy. Przez trzy godziny biedny chory drży z zimna, poczem następuje gorączka, silny ból głowy i zupełna bezwładność członków. Naturalnie brak apetytu także się daje uczuwać, krótki zaś i niespokojny sen przerywają ciągle okropne jakieś mary i widziadła.

Zwykle się zdarza, że pomiędzy atakami choroby następuje parę dni wypoczynku, mnie jednak tak dalece zaszczyliła swemi względami, że pomimo chininy i ipekakuany, nawet na dzień jeden pozbyć się jej nie mogłem. Tak upłynęło pierwszych kilka tygodni, w przeciągu których siły moje niemal zupełnie się wyczerpały.

Niegdyś w seminaryum, przy ulicy du Bac, śpiewaliśmy — a i dzisiaj zapewne tam śpiewają — że:

Na brzegu dalekim
Czekają już żniwa,
Więc nie bój się pracy
Młodzieży szczęśliwa.
Dostatek lub nędzę
Przyjm sercem wesolem
I radość lub troskę
Z pogodnem znies czołem.

Mądra to wprawdzie rada, ale niestety, pomiędzy teorią i praktyką wielki istnieje przedział. Niekiedy zdarzają się wypadki, w których najweselsza nawet piosenka pocieszyć nie zdoła. Szczęściem misyjonarz ma krzyżyk, jedno więc spojrzenie na ukrzyżowanego Chrystusa dodaje mu sił i odwagi.

Największe troski sprawiają nam przeważnie ci, których najbardziej kochamy. Kiedy młody misyjonarz odda się całą duszą i sercem swym wiernym, a nie dozna od nich najmniejszej wzajemności, jest to już bardzo, bardzo nawet smutne, ale jeżeli ciż sami wierni przeciwko niemu się zwrócą, wówczas mimowoli ogarnia go zniechęcenie i apatya.

Jest to rzecz nader łatwa do zrozumienia. Każdy misyjonarz przybyły świeżo z Europy, zostaje nagle przeniesiony do zupełnie nowego i obcego sobie otoczenia. Wiele rzeczy dziwi go i razi, niektóre zaś zwyczajne prawdziwy wstręt w nim budzą. A jednak pragnąc pracować nad zbawieniem dusz, misyjonarz powinien o ile możności zastosować się do trybu życia ewangelizowanych przez się ludów.

Przedewszystkiem więc musi zbadać do głębi charakter ludzi, którym poświęcić chce swe życie. Wprawdzie serca ludzkie są w głównych zarysach wszędzie

takież same, jednakowoż istnieją zawsze pewne modyfikacje, z których należy zdać sobie sprawę, ażeby użyć najodpowiedniejszych środków w celu zjednania sobie dusz. Gdybyśmy chcieli trzymać się tutaj takiegoż samego trybu postępowania, jakiego trzymamy się w Anamie, byłaby to z naszej strony nader gruba omyłka, bo tutejsi górale, odznaczający się pewną niepodległością charakteru, z pewnością by się oburzyli. Misyjonarz przeto musi zabrać się do poważnych studyów psychologicznych i nabywane przez się doświadczenie niejedną ciężką okupić próbą. Nie raz mu się zdarzy przypisać niesłusznie złośliwości to, co po prostu było nierozsądkiem. Niektóre wady, jak na przykład pijaństwo, wywołują jego oburzenie, krajowcy zaś, nie upatrujący w nich nic złego, będą się tylko śmiali. Jeżeli więc chcąc wykorzystać niektóre nadużycia, misyjonarz zacznie je karcieć z własnego punktu widzenia, to upomnienia jego wręcz odrębny, niżby należało, odniosą skutek, krajowcy bowiem uczują się obrażeni wymówkami i zarzutami, których przyczyny nie zdołają zrozumieć.

Ponieważ dzięki dyspensom nadanym przez Stolicę Apostolską mieszkańcom niezdrowych tych krain, post nie jest wcale tu ścisły, dlatego też od zapust aż do Wielkiejnocy, zalecamy naszym chrześcijanom wstrzymać się zupełnie od użycia trunków. Dopiero po odśpiewaniu *Alleluja* wierni zbierali się dawniej w zarządzie gminnym, każdy gospodarz przynosił trochę wina i pieczonego drobiu, poczem rozpoczynano ucztę, która często w prawdziwą zamieniała się orgię.

Otóż w r. 1883, nie chcąc, aby tak piękne chrześcijańskie święto zostało znieważone pijaństwem, zabroniłem wszystkim mieszkańcom wioski raczyć się winem w pierwszy dzień Wielkiejnocy. Z początku krajowcy chętnie się na to zgodzili i zdawało mi się, że wszystko pójdzie jak z płatka. Niestety, nie wiedziałem jeszcze, jak wielką dla nich wino stanowi pokusę.

Przez przeciąg całego Wielkiego tygodnia chorowałem na okropną febrę i tylko dzięki silnemu podnieceniu nerwów trzymałem się na nogach. Zbytecznem byłoby mówić, że przez przeciąg całego tego czasu nie jadłem nic wcale, choroba bowiem zwykle odbiera apetyt. Wreszcie pierwszego dnia świąt febra ustąpiła, ale uczułem się tak osłabiony, że z trudnością zdołałem odprawić Mszę świętą.

W kilka minut później przybyła do mnie deputacja od krajowców, mówiąc, że wszyscy moi wierni zebrali się już w zarządzie gminnym na ucztę i proszą, abym im przysłał przypadającą na mnie część składki, oraz pożyczył gongów i tamtamów do urozmaicenia zabawy. Na to żądanie, jak łatwo się domysleć, dałem odmowną odpowiedź i kazałem zamknąć drzwi mieszkania.

Odmowa moja rozniewała do najwyższego stopnia krajowców, którzy pod wpływem tego uczucia po-

stanowili bezemnie zasiąść do uczty. Dokoła stołu stały baryłki z winem, żywności również nie brakło, jeden zaś z krajowców dostarczył narzędzi muzycznych. Niezwłocznie zatem rozpoczęła się uczta przy dźwięku hałaśliwych gongów i tamtamów.

Około trzeciej popołudniu, nie mogąc już dłużej wytrzymać tej wrzawy, kazałem prosić chłopca, spełniającego funkcję dobosza, aby nie bębnił tak głośno. Nie było to z pewnością zbyt wygórowane żądanie i w innym razie niechybnieby je spełniono. Wówczas jednak wszystkie głowy były już podchmielone i wrzawa zamiast ustać, bardziej się jeszcze wzmogła. Wysłałem więc drugiego posłańca, ale napróżno, gdyż krajowcy nie myśleli wcale się uciszyć. To mnie oburzyło i wywołało w mej duszy gwałtowną reakcję, którąbym mógł porównać do elektrycznego wstrząśnienia. Zerwałem się więc z łóżka i schwyciwszy laskę, pobiegłem do zarządu gminy.

— Kto tak mocno bębni? — zapytałem.

Usłyszawszy to jeden z krajowców, parsknął szyderczym śmiechem, ja zaś sądząc, iż on to właśnie był winowajcą, uderzyłem go zlekka laską trzymaną w ręku. Potem, pomimo oporu ze strony biesiadników, kazałem pewnemu Anamicie zabrać bęben, poczem powróciłem do domu, gdzie na wpół bezprzytomny upadłem na łóżko.

Nie na tem jednak był koniec moich utrapień. Przez cały dzień i większą część nocy pijani krajowcy prawdziwie piekielną wyprawiali wrzawę, poczem zabrawszy wszystkie gongi i tamtamy, jakie się we wsi znalazły, zaczęli mi złorzeczyć na sposób bahnarski, życząc jak najrychlejszej śmierci. Istnieje bowiem tu zwyczaj, że ci, którzy pragną śmierci swego wroga, śpiewają i płaczą tak, jak gdyby się znajdowali na jego pogrzebie. Co do mnie, to musiałem słuchać przez parę godzin krzyków i jęków całej ludności, opłakującej niby śmierć moją: *Et in me psallebant qui bibebant vinum*.

Wyznaję szczerze, że scena ta nader bolesne wywarła na mnie wrażenie, przyszłość zaś w jak najciemniejszych barwach przedstawiać mi się zaczęła. Zwątpiłem nawet, czy zdołam kiedykolwiek zrobić co dobrego ludziom, tak bardzo na mnie oburzonym. Nie chcąc zaś opuścić mego stanowiska, położyłem się na stopniach ołtarza, błagając Boga, by mi pozwolił już umrzeć.

Było to tchórzostwem, wyznaję szczerze, w przeciwnym bowiem razie nie straciłbym ufności w miłosierdzie Boże. Zdarzają się jednak chwile, w których nawet serce kapłana nie umie się oprzeć zniechęceniu i apatii. Nie odpychajmy więc wówczas tego nieszczęśliwego, znużonego moralnie człowieka, ale prośmy Boga, aby go pokrzepił.

Ponieważ jedynie czas mógł złagodzić nieco rozjątrzenie krajowców, ja zaś po tak silnem wstrząśnieniu potrzebowałem wypoczynku, dlatego też O. Vialle-

ton wysłał mnie do pewnego anamskiego kapłana, mieszkającego w Keu-Hai, który mi serdeczną ofiarował gościnność. Każdej atoli soboty wieczorem jeździłem do mej missyi w Kon-Dzeuri-Krong, aby tam nazajutrz odprawić Mszę świętą. Parę razy jeszcze objawiło się niezadowolenie moich wrogów, później zaś znowu zapanował spokój, z którego nie omieszkalem skorzystać, aby powrócić do missyi.

Za powrotem do Kon-Dzeuri-Krongu postanowiłem zgodzić się na wszystko, byleby zjednać sobie życzliwość mych parafian, ponieważ antypatya względem misjonarza, mogłaby ich zniechęcić nawet do Sakramentów świętych. Wymownym tego dowodem było postępowanie mych chrześcijan, którzy wprowadzili słuchali Mszy świętej, ale żywiąc względem mnie urazę, nie spowiadali się już wcale. Zdecydowałem się więc za jakąbądź cenę położyć koniec nieporozumieniu.

Przedewszystkiem zwróciłem się do dzieci i młodzieży, okazując im wiele sympatii, zapraszając do mego domu, albo też darząc rozmaitemi drobiazgami. Rzeczywiście z nielicznymi wyjątkami udało mi się niebawem pozyskać serca młodzieży. Wówczas zacząłem odwiedzać jej rodziców, oraz pielęgnować chorych, na których nigdy tu nie zbywa, dzięki zaś nielicznym moim wiadomościom z zakresu medycyny, zdołałem biednym Bahnarom wyświadczyć pewne usługi.

Z drugiej strony rachowałem również na pomoc pocziwego staruszka, imieniem Kunga, który nigdy jeszcze dotąd nie przechylał się na stronę malkontentów. Zaczynał ten człowiek cieszyć się wielkim wpływem i dzięki jego radom, wiele zbłąkanych owieczek na dobrą wróciło drogę. Zawsze wesoły, uprzejmy, a w dodatku oratorskim obdarzony talentem, stary Kung, niestety zanadto lubił wino, chociaż pomimo tej wady był to najlepszy człowiek na świecie. Pewnego dnia wyznał mi szczerze, że wszystkie jego usiłowania w celu uśmierzzenia zaciekłości mych wrogów, okazały się daremnymi. Ogień zawsze jeszcze tlił pod popiołem i pomiędzy krajowcami a mną istniało ciągle nieporozumienie. Wprawdzie uderzony przezemnie chrześcijanin nie uczuł najmniejszego bólu, ale się bardzo obraził, jedynym więc środkiem pojednania się z nim były uroczyste przeprosiny.

Stary Kung wtajemniczył mnie niebawem we wszystkie szczegóły bahnarskiego ceremoniału. Krajowiec, którego uderzyłem, nazywał się Nenh i miał we wsi bardzo wielu krewnych, z pomiędzy których najzamożniejszym i najbardziej wpływowym był pewien człowiek imieniem Lal. Otóż za pośrednictwem osób obcych, powinien był zawiadomić Nenh'a i jego rodzinę o tem, że chcę naprawić wyrządzoną mu krzywdę, a zarazem oznaczyć wraz z nim dzień, w którym to miało nastąpić. Jako odszkodowanie miałem ofiarować baryłkę wina i dużego koguta. Gdybym zaś zgodził się poświę-

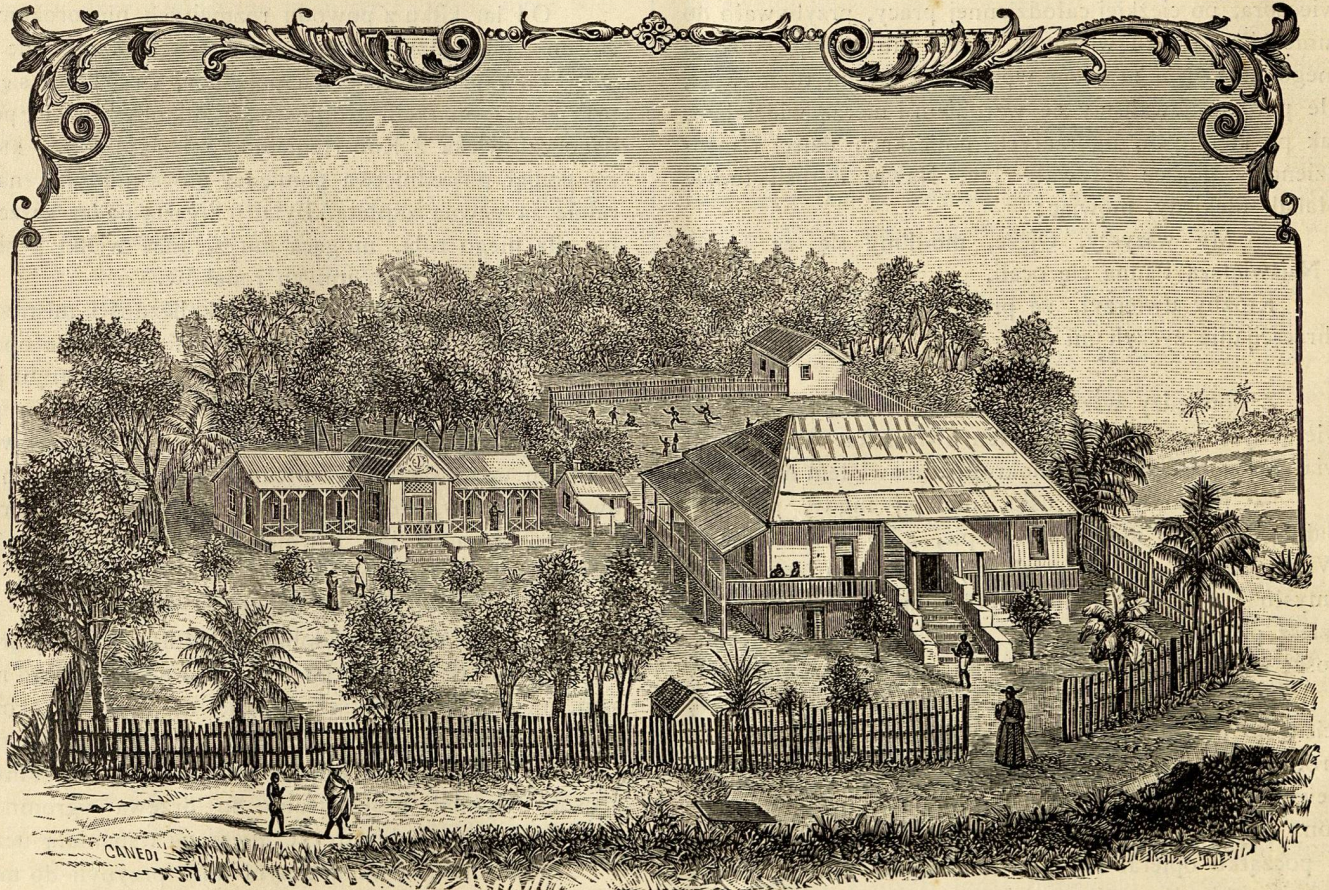
cić jeszcze na ten cel małego wieprzka, to wspaniałość moja znacznie lepszy całej sprawie nadałaby obrót. Wreszcie osoby, które się podjęły pośrednictwa pomiędzy mną a Nnhem, miały otrzymać w nagrodę za swe trudy drugą baryłkę wina.

Wkrótce atoli stary Kung przyniósł mi wiadomość, że przeciwnicy nie chcą słyszeć o zgodzie, dopóki im nie ofiaruję aż dwóch baryłek ulubionego trunku.

— Dobrze — odparłem — powierzę ci całą tę sprawę i pozwalam oświadczyć w moim imieniu, że dam

chętnie Nenhowi ośm franków, to jest tyle, ile kosztują dwie baryłki wina, jeżeli tylko zechce ze mną się pojednać i spełniać znowu praktyki religijne.

Wziąwszy dwóch innych adwokatów do pomocy, Kung wybornie wywiązał się z zadania, w dniu zaś oznaczonym zabrał się do przyrządzenia narodowej kochinchińskiej potrawy z kości, porąbanych w drobniutkie kawałki i zmieszanych ze krwią, rozmaitemi korzennymi przyprawami, oraz odrobiną mięsa. Inni tymczasem zabili ogromnego wieprza, aby go przyrządzić z różno-



Z okolic Madagaskaru. — Stacja misyjna i szkoła w Hell-Ville, stolicy wyspy Nossi-Be.

rodnymi sosami. Dwie baryłki wina, honorowe zajmowały miejsce, dokoła zaś nich z fajkami w ustach siedzieli krajowcy. Co do mnie, to pragnąc na znak pojednania zastosować się zupełnie do miejscowych zwyczajów, przyłożyłem również fajkę do ust, poczem podałem Nenhowi mięsiwo, tudzież rozmaite podarunki, a między innymi trochę szklanych paciorków. Stary Kung otrzymał również kilka skromnych darów za swoje trudy.

Całe powyższe upokorzenie było nader silnym ciosem dla mej miłości własnej, wyznaję to zaś dlatego, aby ukarać siebie za tę dumę, tak głęboko zakorzenioną w mem sercu.

W kilka dni po mych przeprosinach, Nenh wraz z całą rodziną przystąpił do Trybunału Pokuty. Widzicie więc, że zabiegi moje nie były daremne. Uniósłszy się podczas choroby niecierpliwością i gniewem, zbłądziłem jako człowiek, naprawiając zaś winę, postąpiłem jak kapłan, tak, że całe to zajście nie mogło wypaść na moją niekorzyść, gdyż sam Pan Bóg obiecuje swą łaskę tym, którzy się upokorzą dobrowolnie.

W r. 1886 febra i dysenterja doprowadziły mnie do tak opłakanego stanu, że nieraz podczas długich, bezsennych nocy zaczynałem się obawiać, czy będę mógł przed śmiercią przyjąć Sakramenta święte. Dlatego też postanowiłem udać się do O. Vialleto i wyruszy-

łem tam konno, dwaj zaś ludzie kroczyli o kilka kroków przedemną, ucinając gałęzie i kolce, któreby mogły mnie zranić. Jeden z tych ludzi największą niegdyś względem mnie odznaczał się zaciętością, teraz zaś, gdyśmy przybyli do O. Vialletona, dawny mój nieprzyjaciół widząc mnie tak wycieńczonym, zalał się rzewnymi łzami i zawołał:

— Och, mój Ojcie, mój dobry Ojcie, on z pewnością umrze!...

Odległość pomiędzy Kon-Dzeuri-Krong a stacją misyjną Kon-Tum, wynosi parę godzin drogi. Każdego wieczora, po ciężkiej całodzienniej pracy, przybywało do mnie kilku moich wiernych, stając lub klękając dokoła mego łóża. Nie mogłem wprowadzić z nimi rozmawiać, ale porozumiewaliśmy się wzrokiem i nieraz widziałem, jak po ciemnych, ogorzałych policzkach dzieci i młodzieńców gorące spływały łzy. Nawet dorośli ludzie płakali niekiedy, mówiąc:

— My wszyscy, Ojcie, modlimy się za ciebie i Najświętsza Panna cię ocali.

Któżby uwierzył, że przed trzema laty ciż sami chrześcijanie życzyli mi śmierci!...

Z pomiędzy wszystkich młodych krajowców, powierzonych mojej opiece, jeden zwłaszcza wielką sprawiał mi pociechę. Niejednokrotnie mawiałem do niego:

— Kochany Piotrusiu, nie pij nigdy, jak inni Bahnarowie, bo mógłbyś się upić, a to wielki grzech. Wiesz dobrze, że człowiek pijany traci przytomność umysłu i z łatwością ulega pokusom. Dopóki nie będziesz pił, dopóty mogę być spokojny o twoją niewinność; skoro jednak polubisz wino, to będziesz zgubiony.

Przez czas dość długi pocziwy Piotr stosował się ściśle do mojej rady i kiedy cała wieś obchodziła jaką uroczystość, uderzał w gongi lub tamtamy, ale nie pił. Pewnego dnia, gdy wracał podczas silnego skwaru znudzony pracą, zaczęto go namawiać, by się napił wina. Z początku opierał się tym namowom, później jednak dał się nakłonić, przyrzekając sam sobie, że wypije tylko odrobinę. Ponieważ było bardzo gorąco, kwaskowaty zaś napój przyjemnie orzeźwia, za jedną więc szklanką poszła i druga i biedny Piotr stracił przytomność. W kilka godzin później, powróciwszy do normalnego stanu, poznał swoją winę i zaczął ją gorzko opłakiwać.

Od tej chwili przez rok cały pocziwy chłopak nie skosztował ani kropli wina, podczas uczt zaś roznosi potrawy, nalewa innym szkodliwy ten trunek, ale sam dzielnie opiera się pokusie. Kiedy go zaś namawiają, szydząc złośliwie z jego wstrzemięźliwości, Piotr odpowiada spokojnie:

— Nie chcę pić, ponieważ raz się upiłem i popełniłem przez to wielki grzech, którym obraziłem Pana Boga i zmartwiłem dobrego Ojca. Odtąd już nigdy pić nie będę.

W taki sposób, upokarzając się dobrowolnie wobec obcych, Piotr starał się naprawić swą winę. W ostatnich nawet czasach wyznał mi szczerze, iż często płacze po całych nocach, przypominając sobie z żalem ten najsmutniejszy dzień w swoim życiu.

Iluz to Europejczyków nie mogłoby się pochłubić taką skrupulatnością sumienia! Jeden grzech mniej lub więcej, cóż to znaczy? — powiadają niektórzy. Trzeba przecież, żeby się młodzież bawiła! Tak głosi świat ucywilizowany, ale bahnarscy chrześcijanie inaczej się na to zapatrują. Cześć więc naszym wiernym!

Od lat kilku z powodu rozmaitych nieporozumień stosunki pomiędzy Bahnarami i Sedangami zupełnie zostały zerwane. Pragnąc ich pojednać, zwróciłem się do przyjaciół obu tych stronnictw, a mianowicie do pewnego człowieka z Kon-Heuieulu, imieniem Bata, który się podjął pośrednictwa pomiędzy poważnionymi, naturalnie za pewną zapłatą. Była to zresztą nader zaszczytna dla niego rola, mogąca mu zjednać wielki wpływ i znaczenie w oczach innych rodaków.

Ze względu na wyjątkowe okoliczności mistrz ceremonii uznał za właściwe, aby dwa nieprzyjazne obozy zawarły ze sobą przymierze krwi. Pomimo wstrętu jaka ta ceremonia we mnie budziła, musiałem na nią pozwolić, po długich więc negocjacjach moi ludzie wraz z Batem udali się do Kon-Kunu, aby zabrać z tamtąd dwóch wodzów, którzy mieli stać się odtąd mymi przybranymi synami, jak również wszystkich Sedangów, jacyby zechcieli im towarzyszyć.

W pośrodku placu, naprzeciw mego domu, zakładnięto długi maszt, ozdobiony kolorowym papierem i rysunkami w bahnarским stylu. Na szczycie tego masty, mającego około czterech metrów wysokości, kołysało się kilka piór kogucich, dokoła zaś niego stało kilkanaście mniejszych słupów w takiż sam ozdobionych sposób. Opodal przywiązano do drzewa ogromnego wołu, który miał dostarczyć mięsa na wspaniałą ucztę.

Wieczorem w oznaczonym dniu przybyli do mnie Sedangowie i skoro tylko posilili się ryżem, natychmiast pojednawcza rozpoczęła się uroczystość. Na placu ustawiono kilka baryłek wina, młodzież zaczęła uderzać w gongi i tamtamy, krocząc poważnie dokoła wołu, całą zaś tę scenę oświecały ogromne ogniska, tu i owdzie rozniecone.

Przez całą noc, przy dźwięku orkiestry, Sedangowie i Bahnarowie raczyli się winem na znak przyjaźni i braterstwa. Wówczas też wręczyłem przybranym moim synom dary umyślnie dla nich przygotowane, ponieważ zaś miałem jeszcze niemało rozmaitych towarów, mogłem więc okazać się wspaniałomyślnym, wiedząc dobrze, iż to wcale nie popsuje sprawy. Po rozdaniu podarunków, Bat powstał z miejsca i wygłosił długą, uroczystą przemowę. Oto główne jej ustępy:

— Posłuchajcie mnie ludzie z Kon-Kunu i Dzeuri-

Krongu. Pijemy dzisiaj wino Ojca i obaj wodzowie z Kon-Kunu mają stać się jego dziećmi. Teraz więc tworzycie jakby jedną wioskę, jedną rodzinę, macie bowiem jednego i tegoż samego Ojca. Jeżeli w przyszłości pomiędzy wami wywiążą się jakie spory, to załatwicie je spokojnie i przyjaźnie, ponieważ zaś zostaliście braćmi, wspierajcie się więc nawzajem.

Co do was, ludzie z Kon-Kunu, to nie czyńcie nic, co mogłoby obrazić naszego Ojca. Wino jest dobre, pijcie je zatem, ale skoro się upijecie, idźcie natychmiast spać, nie rozpoczynając kłótni. Bóg patrzy na nas z góry i widzi, że mam serce czyste, niech więc nas osądzi. Skończyłem.

Nietylko w homerowskiej Iliadzie po każdej przemowie następuje uczta, której ofiarą pada mnóstwo owiec i wołów, tutaj bowiem w Kochinchinie tenże sam panuje zwyczaj.

Nazajutrz miała się odbyć najważniejsza ceremonia, to jest przymierze krwi.

Aby na umysłach cudzoziemców głębokie uczynić wrażenie, postanowiłem, idąc za radą mych ludzi, nadać całemu temu obchodowi jak najwięcej okazałości.

Na stole pokrytym kolorowym perkalą, ustawiono krucyfiks i sześć świec, po nad nim zaś umieszczono statuetkę Najświętszej Panny. Wszyscy Sedangowie utworzyli jakby straż honorową, do której przyłączyła się niebawem młodzież, bijąca w gongi i tamtamy. Dalej nieco stali Bahnarowie, uzbrojeni we włócznie lub strzelby, obok zaś mnie stanęli dwaj wodzowie sedangscy. Gdy każdy z nas położył dłoń na krucyfiksie, wygłosiłem następującą formułę:

»O Boże jedyny we trzech osobach, zawieram dziś z Peu i Leo z Kon-Kunu związek taki, jaki istnieje pomiędzy ojcem a synami. Czynie to z sercem czystym i gorącym pragnieniem dotrzymania wiernie przyjaźni zaprzysiężonej na krucyfiks. O Panie, który z wysokości niebios spoglądasz na ziemię i widzisz wszystko w głębi serc ludzkich, wynagródź mych synów, jeżeli również szczerze przysięgli mi synowskie przywiązanie, lub ukarż ich surowo, skoro złamię przysięgę«.

W tej chwili mistrz ceremonii podał nam szklanę wina, my zaś z dwoma Sedangami ukłuliśmy się zlekka w palec i spuściliśmy do puharu kilka kropel, które Bat bardzo poważnie pomieszał z winem kostką kurczęcia. Ponieważ pierwszy musiałem skosztować tego napoju, zamknąwszy więc oczy, przełknąłem kilka kropel, dwaj zaś moi przybrani synowie poszli bez wahania za tym przykładem. Dokoła nas tymczasem rozlegały się salwy pistoletowe i donośne dźwięki tamtamów.

Następnie całe nasze grono podążyło do baryłki z winem, które wszyscy Bahnarowie i Sedangowie musieli pić na cześć zawartego przed chwilą przymierza. Baryłka ta była przywiązana do słupa, ozdobionego chorągiewkami, szablami, włóczniami, strzałami, strzelbą

i rogiem myśliwskim. Na szczycie tego słupa jaśniał zdaleka krzyż.

Kiedy wreszcie usiadłem pomiędzy memi przybranymi dziećmi, Bat wziął dwa skrzydełka pieczonego kurczęcia i podał mi je w rurce bambusowej, ja zaś złamałem oba na kolanach Peu i Leo, mówiąc poważnie:

— Jeżeli fałszywą złożyłeś przysięgę, to niech Bóg złamie twe siły tak, jak ja łamię teraz na twem kolanie skrzydła tego ptaka.

Potem przełknąwszy parę kropel wina, podałem puhar obu sedangskim wodzom, gdy zaś ci ostatni wraz ze swymi ludźmi ochoczo zabrali się do picia, Bahnarowie poczytując to za niechybną oznakę przyjaźni, donośny wydali okrzyk. Znowu też odezwały się gongi, którym wtórowały trzy olbrzymie bębny i pistoletowe wystrzały. Bahnarowie tymczasem wołali z całych piersi:

— Jeżeli fałszywą złożyliście przysięgę, to niech was schwytają w niewolę lub zabiją, niech was tygrys pożre, piorun spali, ogień zaś niech pochłonie całe wasze mienie.

W innym razie podobne zaklęcia niezbyt mile zostałyby przyjęte, ale w obecnych okolicznościach nie razią one nikogo, owszem należą do programu. Później zresztą nastąpiła wymiana tych komplementów, bo gdy przyszła kolej na Sedangów, ci ostatni odwetowali nam bardziej jeszcze wymownymi przekleństwami i złorzeczeniami.

Od tej chwili stosunki z Sedangami nic nie pozostawiają do życzenia.

Z wielu nader ważnych powodów zabroniłem stanowczo moim służącym uczęszczać do zarządu gminnego lub do prywatnych mieszkań wówczas, gdy krajowcy jakkolwiek obchodzą uroczystość. Wino stanowi dla nich również owoc zakazany. Z początku obwiniano mnie wprawdzie o zbytęcną surowość, dziś wszakże wszyscy już uznali, że miałem słusność zupełną. Atoli pewnego dnia, kiedy wyjechałem do Kon-Tumu, aby się tam wypowiadać, mieszkańcy wsi Kon-Ketu zaprosili jednego z mych ludzi, imieniem Wienga, dlatego jedynie, aby skosztował ich wina.

— Chodź do nas — rzekli — a wielką zrobisz nam przyjemność; co zaś do wina, to wypijesz go za ledwie parę kropel, gdyż do picia wiele nie będziemy cię zmuszali.

Długo biedny Wieng opierał się ich namowom, aż wreszcie nie chcąc obrazić tak gościnnych ludzi, przyjął zaproszenie. Inni moi służący poszli także za jego przykładem, z wyjątkiem dwóch, którzy oświadczyli stanowczo, że tego nie uczynią, boby to Ojcu sprawiło przykrość.

Tegoż samego dnia wyjechałem z Kon-Tumu daleko wcześniej, niż zwykle i przybyłem do Kon-Ketu wówczas właśnie, gdy nikt jeszcze mnie się nie spodziewał. Usłyszawszy odgłos dzwonka, wiszącego na szyi

mego konia, winowajcy opuścili natychmiast zarząd gminny i wrócili do domu, nieobecność ich wszakże nie uszła mej uwagi. Wówczas jednak żadnej jeszcze nie zrobiłem im wymówki, tylko rzekłem do Wienga:

— Zrobiłeś mi dziś wielką przykrość.

Biedny winowajca wyszedł natychmiast i tego dnia wcale już się nie pokazał. Kiedy wieczorem nadeszła zwykła pora modlitwy, zauważyłem, że moi ludzie nie zabierają się do niej wcale, gdy zaś zapytałem o przyczynę tego spóźnienia, usłyszałem jednogłośnie odpowiedź:

— Czekamy na Wienga, bo wszak on zwykle rozpoczyna pacierz.

— Napróżno go oczekujecie, Wieng z pewnością dziś nie przyjdzie. Ty więc, Leueungu, przeżegnaj się i rozpocznij modlitwę.

Po skończonem nabożeństwie wieczornem, kazałem szukać Wienga, którego znaleziono w pobliżu domu. Dowiedziawszy się, że go wołam, Wieng wszedł do mego pokoju, ale się trzymał zdaleka w najciemniejszym kącie. Sądząc, że nie przyszedł na modlitwę, idąc jedynie za uczuciem podrażnionej miłości własnej, zganiłem go surowo i byłem pewny, że mój katechista wyrazi żal z tego powodu, ale Wieng milczał. Wówczas postanowiłem bądź co bądź przełamać jego dumę i jeszcze surowszemi obsypałem go wymówkami, lecz



Madagaskar. — Odwiedziny misjonarza u trędowatych w Ambahiworace.

mój katechista zachowywał ciągle uporczywe milczenie. Kiedym go wreszcie zawołał do siebie, Wieng zbliżył się chwiejnym krokiem i wówczas dopiero spostrzegłem, że miał łzy w oczach. Wzruszenie zatem, pomyślałem sobie, nie pozwoliło mu mówić. Naturalnie, natychmiast zmieniłem ton rozmowy i odezwałem się łagodnie do skruszonego grzesznika. Po kilku chwilach Wieng zaczął łkać, uspokoiwszy się zaś nieco, upadł przedemną trzykrotnie na kolana i zawołał:

— O mój Ojcie, który mnie tak kochasz i tylu dobrodziejstwami już obsypałeś, jakże mi smutno, że cię zmartwił i okazałem się niewdzięcznym. Ponieważ jednak czułem, że dawasz tak zły z siebie przykład, nie mam już prawa modlić się z wami, ukryłem się więc w kurniku razem z drobiem i tam odmówiłem różaniec, oraz wszystkie inne modlitwy. Witam cię, Oj-

cze (tu nowe nastąpiły ukłony) i proszę, abyś mi przebaczył, na mojem zaś miejscu wyznaczyl mego brata Leueunga, który nam wszystkim dobry daje przykład.

— Nie — odparłem — tak być nie powinno. Wiedz, że szczerze żałujesz swej winy i to mi wystarcza, Jeżeli zaś całkowicie pragniesz ją naprawić, to przepros swych braci za zgorzenie im dane.

— Zrobiłem to już, Ojcie. Upadłem braciom mym do nóg i prosiłem ich o przebaczenie.

— W takim razie, moje dziecko, możesz już zupełnie być spokojnym. Przebaczam ci z całego serca i Pan Bóg z pewnością także ci przebaczył, nie smuć się więc, ale spełniaj jak dawniej swoje obowiązki.

Pocziwy katechista podziękował mi serdecznie i niskim pożegnał ukłonem. Po wyjściu jego zawołałem Leueunga.

— Gdzie znalazłeś Wienga? — zapytałem.

— W kurniku, Ojczy, pod domem — brzmiała odpowiedź.

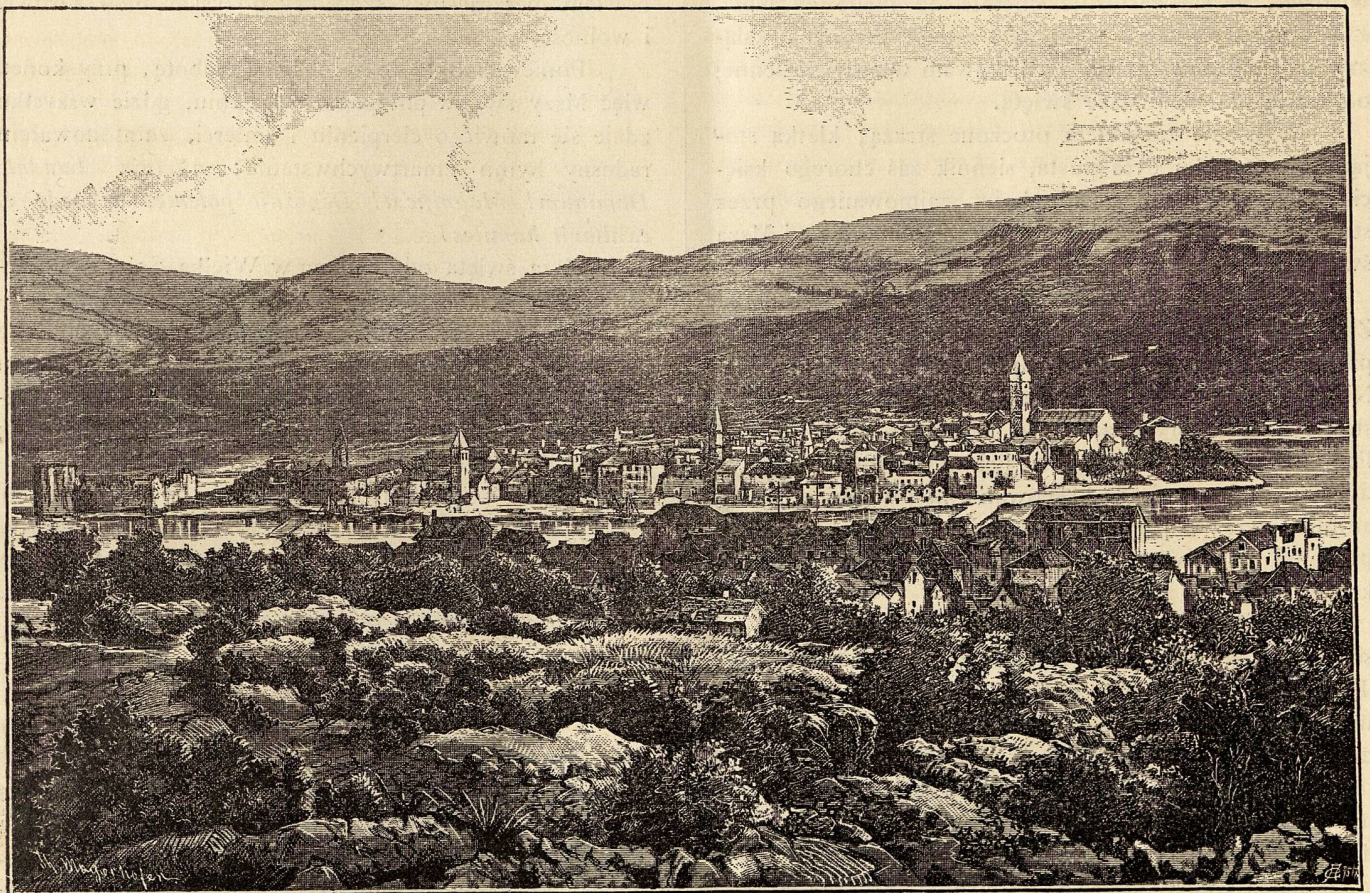
— Czy was przeprosił?

— O tak, zebrał nas wszystkich razem i upadłszy na kolana, prosił ze łzami o przebaczenie.

Wówczas powinszowałem mu tego, że zdołał oprzeć się pokusie, ostrzegając zarazem, że nie powinien się chełpić ze swej wytrwałości, a wreszcie opo-

wiedzałem, w jak prawdziwie chrześcijański sposób Wieng odpokutował za swoją winę.

Powiecie może, że powyższy postępek mego katechisty niczem wybitnem się nie odznacza. Każdy jednak, kto zna zwyczaje i charakter mieszkańców Kochinchiny, przyzna z pewnością, że pocziwy Wieng złożył dowód głębokiej pokory, upokarzając się dobrowolnie przed niższymi od siebie, pomiędzy którymi ośmioletnie znajdowało się dziecię. Zresztą jest on z natury



Dalmacya. — Widok na miasto Trogir i jego okolice; podług fotografii.

dumny i porywczy; widzicie więc, jak wielkiej zmiany dokonała łaska w jego duszy.

Podczas jednej z wycieczek do Anamu, miałem szczęście odwiedzić dwóch księząt, nawróconych już od dawna na chrystyanizm i skazanych za to przez jednego z regentów na więzienie, albo wieczne wygnanie.

Mandaryn, któremu powierzono opiekę nad tymi nieszczęśliwymi więźniami, przyjął mnie bardzo uprzejmie. Po kilku chwilach przyjaznej rozmowy, wyraziłem chęć zobaczenia obu księząt wyznawców i mandaryn kazał mnie natychmiast zaprowadzić do ich więzienia. Była to nędzna chałupa z ubitej gliny, pokryta słomia-

nym dachem i mająca jeden tylko otwór, służący zarazem za drzwi i okna. W pośrodku tej chaty znajdowała się ogromna drewniana klatka, z prętów niedbale ociosanych. Tam właśnie mieszkają księżęta męczennicy. Nie mieli już oni kajdan ani na szyi, ani na nogach, gdyż rezydent francuski, p. Briere, błagał prześladowców w imieniu zasad ludzkości, o uwolnienie biednych więźniów od tej katuszy.

Jeden z wyznawców był bardzo chory i o parę dni przedtem pewien kapłan krajowiec udzielił mu Sakramentu Ostatniego Namaszczenia. Obaj więźniowie ucieszyli się niezmiernie i prosili mnie o Komunię św., chory zwłaszcza domagał się usilnie Wiatyku, mówiąc:

— Gdybyś wiedział, Ojczy, jak dusza moja pragnie Pana Jezusa!

Ponieważ, jako kapłan i misjonarz, rozumiałem dobrze to pragnienie, niezwłocznie więc postanowiłem je urzeczywistnić. Bogu dzięki, nie potrzebowałem obawiać się żadnej zniewagi Najświętszego Sakramentu ze strony Anamitów. Natychmiast przeto wysłałem do mandaryna swego służącego z prośbą o wydanie rozkazów, aby w wielką sobotę więzienie biednych ksiąząt zostało należycie uprzątnięte. Mandaryn kazał mi powiedzieć, że się zastosuje chętnie do mego życzenia. Łatwo możecie sobie wyobrazić radość biednych ksiąząt, gdy się dowiedzieli, że niebawem w celi więziennej odprawię dla nich Mszę świętą.

Więzienie znalazłem otoczone strażą; klatka stojąca w pośrodku była pusta, siennik zaś chorego księcia wyniesiono do przedpokoj, zajmowanego przez stróżów. W głębi więc klatki urządziłem ołtarz i Msza święta się rozpoczęła.

O cóż to za rozrzucające było nabożeństwo! Zbawiciel w Przenajświętszym utajony Sakramencie zstąpił do więzienia, gdzie dwaj wyznawcy cierpieli dla Niego mężnie i wytrwale. Za ołtarz służył mi malutki stoliczek, na którym zaledwie zdołałem umieścić kielich, mszał i dwa drewniane lichtarze. Obok mnie na dybach, używanych do krępowania nóg więźniów, stały ampułki wraz z patyną, dokoła zaś piętrzyły się sztaby posępnej klatki więziennej, na których tle rysował się krucyfiks.

Do Mszy świętej służył pewien młody Anamita, schwytyany niegdyś w niewolę przez dzikie plemię Ba-Teu. Poczciwy chłopak ze łzami w oczach prosił, abym mu pozwolił przystąpić do Stołu Pańskiego wraz z dwoma nieszczęśliwymi więźniami, chrześcijańskimi księżętami, skazanymi na więzienie i karę śmierci, wzgardzonymi przez ludność całą i znenawidzonymi przez mandarynów.

Jeden z nich klęcząc na więziennej podłodze, modlił się gorąco; drugi nie mógł już się podnieść z nędznego barłogu i z rezygnacją oczekiwał śmierci. A jednak obaj ci skazańcy, jak mi sami wyznali, czuli się zupełnie szczęśliwi, czegoż bowiem może braknąć temu, kto posiada Boga?

W miarę odprawiania wzniosłych tajemnic Mszy świętej, czułem, że coraz silniejsze ogarnia mnie wzruszenie. Wreszcie po mojej Komunii świętej, podałem ją również męczennikowi, skazanemu jeszcze na długie cierpienia, poczem temu, którego jak się nam zdawało, Pan Bóg już niebawem powoła do siebie, udzieliłem Komunii świętej, jako Wiatyku na drogę wieczności. Biedny chory nie chciał leżąc przyjąć Komunii św., podniósł się więc z trudnością na osłabionych rękach, ale w tejże samej chwili rozdzierający jęk wydobył się ze zboliałych jego piersi.

Tym razem nie zdołałem już zapanować nad wzruszeniem i łkając głośno, wypowiedziałem te piękne liturgiczne słowa:

— Ciało Pana naszego Jezusa Chrystusa niechaj strzeże duszy twojej do żywota wiecznego. Amen.

Błądą, wychudłą twarz męczennika nadziejska wówczas rozpromieniła radość i od tej chwili był on już zupełnie przygotowany na śmierć, która podług ogólnego mniemania niebawem musiała nastąpić.

Nieprzeniknione atoli są wyroki Boże, wkrótce bowiem nieszczęśliwy skazaniec odzyskać miał zdrowie i wolność.

Ponieważ było to w Wielką Sobotę, przy końcu więc Mszy św., w posępnej więzieniu, gdzie wszystko zdaje się mówić o cierpieniu i śmierci, zaintonowałem radosny hymn zmartwychwstania: *Alleluja! Laudate Dominum! Magnificat! Deposuit potentes de sede et exaltavit humiles!*

Msza święta odprawiona w Wielką Sobotę w więzieniu nieustraszonych wyznawców, skazanych na ściecie, tak silne i głębokie wywarła na mnie wrażenie, że jej do grobu zapomnieć nie zdołam. Po odmówieniu modłów dziękczynnych, udzieliłem obu młodym chrześcijańskim bohaterom błogosławieństwa i poleciłem się ich modlitwom.

DALMACYA.

(Notatki z podróży w r. 1892).

(Ciąg dalszy).

X.

Prace OO. Bernardynów podczas najazdów tureckich.

Następca Dolfin, generał Cornaro, spostrzegł, że nadchodzi chwila, w której Wenecya utraci wszystkie posiadłości w Dalmacyi, jeżeli nie użyje wszystkich możliwych środków obrony. I tą razą nie małą pomoc znalazł w OO. Bernardynach, zwłaszcza w sprytnym i znanym z mężstwa O. Andrzeju Resiću, zakonniku z Wyssowackiego klasztoru.

Gdy generał Cornaro wyruszył pod Knin, Ojciec Andrzej zebrał oddziały całą duszą oddanych mu Dalmatyńców, zorganizował małą armię i podążył za wojskami Rzeczypospolitej. Obeznany z całą okolicą Kninu, ścieżkami i wąwozami podsunął się pod twierdzę i przeciął drogę, którą mogłyby nadciągnąć z Bośni posiłki tureckie.

Już generał Cornaro ruszył do ataku; działa za-grzmiały nad głowami Turków. Wobec groźnej chwili, część wojsk tureckich formuje szyk bojowy i taką siłą, jaką tylko silna wiara lub rozpacz dać morze, rzuca się na szeregi chrześcijańskiej armii, łamie ją i zdaje się, że w puch rozbije. Wtem O. Andrzej zawołał na swoich:

Za mnom junaci! i w mgnieniu oka wśród chmury pocisków wychodzi z ukrycia, dostaje się na mury miasta i zatyka zwycięski sztandar na jednym z bastionów.

Z załogą turecką postąpiono sobie po chrześcijańsku; rozbrojoną odesłano do Bośni, tylko beya Atlagicza, komendanta twierdzy wyprawiono do Wenecyi, następnie do Brescii, gdzie w więzieniu dokonał żywota¹⁾.

Razem z wojskiem chrześcijańskim wkroczył do miasta biskup z duchowieństwem, a ponieważ był to dzień św. Hieronima, więc jeden z meczetów zamienił na kościół parafialny pod wezwaniem tego Świętego. Gdy jednak w parę lat później żaden ze świeckich duchownych nie miał ochoty zajmować parafię tuż w sąsiedztwie tureckiej Bośni, OO. Bernardyni otrzymali ten posterunek kresowy w swój duchowny zarząd.

Biskupstwo knińskie, jak to już wyżej powiedzieliśmy, w czasie napadów tureckich stało się tylko tytularnem, a cała okolica starej stolicy kroackiej, oddaną została w zarząd biskupowi Sebenickiemu.

W czasie, o którym piszemy, chociaż sąsiednie wioski prędko się zaludniały, to jednak samo miasto Knin przez długi czas nie mogło zwabić do siebie mieszkańców. Dopiero gdy Wenecya wzmocniła mury zamkowe i zdecydowała się na utrzymanie w nich większej załogi wojskowej, a nadto, gdy O. Andrzej Resića wybudował nowy klasztor i kościół św. Antoniego, wówczas na wezwanie OO. Bernardynów przybyła garstka ludności z okolic, zbudowała trwałe budynki, bo czuła, że teraz może już być bezpieczną pod opieką duchowną Ojców i materyalną wojsk Rzeczypospolitej.

Interesujący dokument w tym względzie znaleźliśmy w knińskim archiwum OO. Bernardynów. Oto co pisze dnia 20 października 1691 r. komendant twierdzy generał Molino na wieczną pamiątkę zasług tego zakonu:

»Gorliwa i pożyteczna działalność OO. Bernardynów Wysowackiego klasztoru, a zwłaszcza O. Andrzeja Resića, zasługuje na największe uznanie. Przyczynili się już w znacznej mierze do zdobycia znakomitej twierdzy knińskiej, zachęcając do walki swych wiernych i udzielając im Sakramentów świętych, bez najmniejszej pretensyi do jakiegokolwiek nagrody za swe nieocenione trudy, podjęte dla dobra wiary świętej i Rzeczypospolitej. Jedynym bodźcem dla nich była miłość Pana Boga i bliźnich, oraz gorąca żądza zbawienia dusz. Dlatego sprowadzili sobie pomocników z innych klasztorów, aby w Kninie, Derniszu, Prominie wieść niezmordowane dzieło Boże. Gdy w tutejszych okolicach szerzyła się zaraza, O. Resića ze wzniosłym narażeniem własnego życia, ratował swych bliźnich, później zaś przygarniał do siebie Turków²⁾, aby ich uczyć prawd wiary świę-

tej katolickiej. Jemu też przypisać należy sprowadzenie do wyludnionych tych okolic znacznej ilości włościan, którzy przyjęli poddaństwo Rzeczypospolitej«.

Podobne pochwały znajdujemy w dokumentach innych generałów i komendantów knińskich, jak Dominika Diedo z r. 1693 i Bernarda Barbaro z r. 1695, w których chwalą OO. Bernardynów, przedewszystkiem za apostolską działalność w nawracaniu wyznawców islamu¹⁾.

Zaraz po zdobyciu Kninu, wojska weneckie wraz z krajowcami podążyły do Wrliki. Na czele krajowców stał O. Jerzy Bodić i podobnie jak O. Andrzej Resića pod Kninem, tak on pod Wrliką cudów mężstwa dokazywał ze swoim oddziałem. Pod naciskiem wojsk chrześcijańskich Turcy musieli ustąpić z pola i w ucieczce szukać ocalenia. O. Bodić zaraz zamienił meczet turecki na kościół i oddał go ku czci Najświętszej Panny Różańca św., ponieważ była to właśnie pierwsza niedziela października poświęcona tej św. Patronce. Piękny był widok, gdy po odniesionem zwycięstwie, wojska w procesyi obchodziły miasto, śpiewając hymny dziękczynne. Paniątkę szczęśliwego dnia corocznie obchodzi ludność Wrliki procesyą i nabożeństwem odpustowem, w pierwszą niedzielę października. Od tego też czasu wizerunek Matki Boskiej Różańcowej służy za herb miasteczka.

* * *

Wieść o zwyciężkach pochodach wojsk chrześcijańskich wypłoszyła na jakiś czas Turków także ze Sinja. OO. Bernardyni zaraz skorzystali z nieobecności wroga, weszli do miasta i rozłożyli się jak koczownicy obozem około meczetu, który zamienili na kościół. Tymczasem Turcy pobici pod Kninem i Wrliką zdobyli się jednak na odwagę, aby zająć Sinj. Basza Dalbatan wpadł niespodziewanie do miasta, rzucił się na bezbronnych mieszkańców, niosąc ze sobą jak zwykle śmierć i pożogę. Siedmiu OO. Bernardynów okrutnie zamordowano, część zakonników uciekła, a jeden z nich O. Paweł Vučković dostał się do niewoli. Byłaby niezawodnie i jego śmierć w katuszach spotkała, gdyby nie znajomość tureckiego języka. Siepacze słysząc, że uprzejmie przemawia ich językiem, nie wiedząc kim jest, żywego odstawili do baszy. Dalbatan po dłuższej rozmowie z O. Vučkovićem, tak go polubił, iż darował mu życie, lecz otrzymawszy rozkaz niezwłocznego wyjazdu do Bagdadu, zabrał go ze sobą jako wojennego jeńca.

W czasie czteroletniej niewoli O. Vučkovića, pan jego Dalbatan basza poskromił zbuntowanych Arabów w okolicach Bagdadu i w nagrodę odniesionego zwycięstwa, został mianowany wielkim wezyrem i odwołany do Konstantynopola. Tam po upływie roku spotkał

¹⁾ Zob. O. Stipan Zlatović l. c., str. 157.

²⁾ Prawdopodobnie apostatów chrześcijańskich

¹⁾ Oryginalne dokumenta znajdują się w archiwum klasztoru OO. Bernardynów w Kninie.

go zwykły los wysokich dostojników tureckich, to jest wpadł w niełaskę i został uduszony. Korzystając z zamieszania, jakie z tego powodu zapanowało na dworze sułtana, O. Paweł Vučković schronił się do ambasadora weneckiego, a ten go wsadził na okręt Rzeczypospolitej i odesłał do Wenecyi.

Podróż po miastach włoskich była dla O. Pawła prawdziwą nagrodą za trudy i niebezpieczeństwa niewoli. Wszędzie go przyjmowano z wielkim zapałem i darzono hojną jałmużną¹⁾. W tym czasie Wenecya zajęła miasto Sinj, mógł więc O. Paweł bezpiecznie powrócić do ojczystej ziemi i rozpocząć z końcem r. 1703 budowę klasztoru i kościoła.

Gdy w r. 1715 wszystkie zabudowania były ukończone i zdawało się, że nastanie szczęśliwa era dla gromadki chrześcijan skupiającej się około klasztoru: oto niespodziewanie przybywa goniec z Liwna, jako zwiastun nowego tureckiego napadu.

OO. Bernardyni niezwłocznie przygotowali się do obrony. Zawezwali ludność z dobytkiem, częścią do klasztoru, kościoła i fortecy sinjskiej, częścią na wysepkę leżącą wśród rzeki Cetyny. Cudowny obraz Matki Najświętszej miał być najsilniejszą obroną.

W sierpniu tegoż roku ukazały się pierwsze hordy tureckie. Łuna czerwieniejąca od wschodu i woń spalenizny poprzedzał ich pochód. Pierwszy napad oparł się o naprędcę zrobioną warownię wśród rzeki Cetyny. Oblężeni bronili się dzielnie, nie wyłączając niewiast i dzieci; zarumieniona krwią Cetyna unosiła ze sobą trupy nieprzyjaciół. Pomimo tego, wobec stokroć przeważającej siły tureckiej, prawie wszyscy legli w boju, a na pierwszym miejscu proboszcz miejscowy. Ledwie garstka dzieci i dziewcząt ocalała, lecz po to tylko, aby w niewoli wieść gorszy od śmierci żywot²⁾.

Turcy upojeni tym pierwszym co prawda nie trudnem zwycięstwem, ruszyli pod mury forteczne Sinja. OO. Bernardyni z krzyżem w ręku przebiegali wały, zachęcali do męstwa, opatrywali rannych, udzielali ginącym w boju ostatnich św. Sakramentów. Kilku z nich przytem zginęło, tak n. p. O. Stefan Waresza, ugodzony kulą w chwili, gdy pomagał naprawiać wyłom w murze, a O. Mikołaj Brčića schwytany przez Turków wówczas, gdy niósł pomoc duchowną katolikom, na torturach przyznał swe poświęcenie.

Od dnia 8 września ataki tureckie ponawiały się coraz częściej. Lecz czy dziwna ich niemoc, czy zapał oblężonych sprawiały, że zawsze byli odparci z wielką szkodą w żołnierzach.

Stan taki jednakowoż długo trwać nie mógł. Po ludzku sądząc zdawało się, że garstka chrześcijan za-

mknięta w fortecy, będzie musiała się poddać prędzej czy później. Brak amunicyi i żywności, strata w żołnierzach rannych lub ległych w boju, zapowiadały prędką katastrofę.

Wówczas O. Paweł Vučković wziął monstrancyę do ręki z Przenajświętszym Sakramentem i błogosławił lud chrześcijański, widząc ostateczny ratunek jedynie w jakiejś mocy nadprzyrodzonej. Silna jego wiara i innych Ojców nie zawiodły ufności, jaką w Bogu złożyli. Oto na niebie okazuje się Najśw. Panna, otoczona Aniołami. Przedziwne zjawisko takim męstwem przejęło oblężonych, a takim strachem nieprzyjaciół krzyża, iż pierwsi jak lwy stanęli do walki z silną wiarą, że Bóg ich siły potroi, drudzy przerażeni poczęli mieszać szyk bojowy i pomimo nawoływań wodzów tureckich, pierzchnęli w nieładzie. Sam nawet basza widząc popłoch w swem wojsku, zwątpił o skutku dalszej walki, dlatego zebrał resztki pozostałych żołnierzy i w nocy z 14 na 15 września cofnął się do Bośni.

Cała ludność sinjska i jego okolicy swoje zwycięstwo przypisywała pośrednictwie Najśw. Panny. To też, aby dać choć słaby dowód swej wdzięczności dla tej potężnej Wspomożycielki, zaraz zebrano fundusz na złotą koronę do cudownego obrazu, przed którym w chwilach najniebezpieczniejszych tyle zanosili próśb, tyle łez wylali, aż ostatecznie otrzymali tak wielką łaskę¹⁾. X. Arcybiskup Cupilli uroczystie dokonał koronacji cudownego sinjskiego obrazu; podziśdzić też sama korona zdobi skroń Matki Bożej na obrazie w Bernatdyńskim kościele.

Dnia 15 września (1715 r.) — pisze O. Zlatović²⁾ — w uroczystość Imienia Najśw. Panny mieszkańcy Sinja przekonawszy się, że w całej okolicy nie było już ani jednego Turczyka, urządzili pod kierunkiem Ojców Bernardynów dziękczynną procesyę z cudownym Jej obrazem dokoła miasta i twierdzy. Uroczystemu pochodowi towarzyszyli wszyscy rycerze ze sztandarami; wśród głosu bębnow i dźwięku trąbek wojennych obszedłszy całe miasto, wniesiono napowrót do kościoła cudowny obraz.

Na pamiątkę tak cudownego ocalenia, corocznie w uroczystość Imienia Najświętszej Panny odbywała się z Jej obrazem procesya. Zjeżdżało się na nią rycerstwo całej okolicy, popołudniu zaś urządzano turnieje i strzelanie włócznią w pierścień zawieszony na sznurach, przyczem zwycięzca otrzymywał w nagrodę parę łokci szkarłatnej materyi, również ucztę dla siebie i towarzyszy. Zwyczaj ten zwany *giostra* utrzymał się w Sinju dotychczas, z tą jedynie różnicą, że strzelanie do celu przeniesiono na dzień urodzin Cesarza austriackiego, zwycięzca zaś otrzymuje 200 złr. w nagrodę zręczności.

¹⁾ Zob. O. Stipana Zlatowića, l. c., str. 195.

²⁾ Zob. w Archiwum klasztoru sinjskiego rękopis p. t.: *Giornale d'assedio*.

¹⁾ Zob. *Giornale d'assedio*, archiwalną księgę klasztoru i świadectwo generała weneckiego Emo z dnia 29 stycznia 1716 r., przechowywane w sinjskim archiwum.

²⁾ l. c. Franovci džrave Presv. Odkupitelja, str. 199.

Doroczna godność Alaj-Zaus'a, tak tu nazywają zwycięzcę, łączy się z pewnymi przywilejami, bardzo pożądanymi dla dzisiejszych potomków dawnych sinjskich rycerzy.

Po sławnym sinjskim zwycięstwie, potęga turecka została zupełnie skompromitowaną w oczach Dalmatyńców. Wprawdzie jeszcze raz pod Wrliką próbowały wojska muzułmańskie zmyć swą hańbę, lecz próżne były usiłowania. Spotkała ich klęska, poczem ludność zaczęła używać skutków błogosławionych pokoju aż do końca XIII wieku, w których raz jeszcze miała przechodzić ciężkie chwile, zanim się dostała pod austriackie panowanie, zapewniające zupełną swobodę w wyznawaniu naszej wiary świętej.

Od tego czasu stosunki religijne w okolicach Kninu, Wrliki i Sinja zupełnie się uregulowały, OO. Bernardyni mają pieczę duchowną nad tamtejszą ludnością, a miłość parafian o tyle jest silniejszą, iż pamięć na ich bohaterskie poświęcenia tkwi jeszcze żywo w potomkach dawnych męczenników za wiarę.

X. Marcin Czerminski.

(C. d. n.).

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE Z MISSYJ.

—o—o—

Azya. — Przybycie nowego Biskupa do Dżaffny. Czasopismo pod tytułem *Jaffna Catholic Guardian* podaje opis przyjęcia, jakiego doznał X. biskup Joulain w chwili przybycia do swej odległej dyecezyi.

„Czcigodny ten Prałat odpłynąwszy z Kolombo wyładował w Kalmunai na malutkiej wysepce, leżącej pomiędzy Dżaffną, a hindustańskim wybrzeżem. Tam katolicy z Kaits, pospieszili złożyć mu swe życzenia. Przybyli oni wraz z liczną miejscową orkiestrą na lekkich łodziach, ozdobionych chorągiewkami, które tworzyły jakby małą flotę, przygotowującą się do manewrów na morzu.

„Nazajutrz rano Jego Przewielebność przybył do Dżaffny na statku, ozdobionym starannie zielenią i kwiatami. W porcie oczekiwał go liczny tłum, złożony z katolików, Hindusów, protestantów i mahometan. Gdy X. Biskup wyładował, dwaj najwybitniejsi przedstawiciele miasta odczytali głośno parę adresów w języku angielskim i tamulskim, w których cała ludność wyrażała mu swe uczucia przywiązania, szacunku i zupełnej uległości. Potem na bogato przyozdobionych ulicach utworzył się prawdziwy pochód tryumfalny; wszędzie widać było wdzięczne girlandy lub różnobarwne chorągwie, tu i owdzie zaś wznosiły się olbrzymie łuki z zieleni i kwiecica. Nie brakło też illuminacji, ogni sztucznych, salw działowych, słowem niczego, co mogłoby się przyczynić do uświetnienia tej uroczystości. Ogólny zapal doszedł do takiego stopnia, że wybitniejsi mieszkańcy Dżaffny chcieli ciągnąć sami powóz, wiozący X. biskupa Joulain'a. W katedrze Jego Przewielebność wygłosił do ukochanego swego ludu bardzo piękną i serdeczną przemowę, oraz udzielił mu uroczyste pierwsze błogosławieństwo.

Bohaterski misjonarz. — X. Paweł Vial z Missyj zagranicznych w Paryżu, przesłał w ostatnich czasach opis okropnej zbrodni, której omal nie padł ofiarą.

„Po ośmiu latach apostołskiej pracy w Chinach, zostałem wysłany do Jun-Nanu i dotarłem aż do plemienia Lolosów, które

choć uznaje nad sobą władzę chińskiego rządu, nie jest wszakże wcale podobne do Chińczyków.

„Pewnej nocy usłyszałem wrzawę w swoim kościele. Wstając więc i widząc, że jacyś ludzie wrzucają do wnętrza płonące zapalki, jak gdyby chcieli podpalić świątynię. Sądząc, że mam do czynienia ze zwykłymi złodziejami, nieodznaczającymi się wcale odwagą, wychodzę. Myślałem, że trochę wrzawy, a nawet sam mój widok skłoni niepotrzebnych gości do ucieczki, ale inaczej się stało. Widząc, że jeden ze złodziei wyskoczył przez okno, puszczałem się za nim w pogoń. Tego też właśnie pragnęli napastnicy. Po chwili jeden ranił mnie w rękę sztyletem, drugi uderza w głowę zakrzywionym nożem, którym tutejsi mieszkańcy wybornie posługiwali się umiennie, trzeci zaś wymierza mi szabłą cios w pobliżu serca. Krew obfitą strugą tryska z rany, ja zaś padam, wołając o pomoc. Wkrótce wszyscy mieszkańcy wsi schodzą się na mój dziedziniec, gdy tymczasem rabusie ratują się ucieczką. Niebawem zaniesiono mnie do domu. Sądząc, że chwile mego życia są już policzone, polecam swą duszę Bogu i mówię do Lolosów:

— Widzicie, że umieram jedynie dla was i w waszej obrobie. Życie me chętnie za was ofiaruję, lecz proszę, abyście zawsze pozostali wiernymi świętej naszej wierze.

„Na te słowa wszyscy obecni zalewają się łzami i starają się zatamować krew płynącą z czternastu głębokich ran. Wówczas przypomniałem sobie, że miałem buteleczkę chloranu żelaza, który rzeczywiście powstrzymał upływ krwi. Widząc to, pewien poczciwy Lolos, znający się trochę na medycynie, podjął się mnie pielęgnować.

„W przeciągu całego miesiąca leżałem jak martwy, nie mogąc najmniejszego wykonać ruchu. Poczciwy mój infirmarz czuwał przy mnie po całych nocach, opatrywał mi rany, a nawet zdołał zaszyć szczęśliwie najniebezpieczniejszą z nich, bo zadaną w okolicy płuc i serca.

„Skoro tylko trochę odzyskałem siły, zostałem przewieziony do X. Biskupa, który mnie wysłał do Hong-Kongu. Tam musiałem aż sześć razy poddać się rozmaitym operacjom w celu odzyskania czucia w prawej ręce, która jednak, jak sądzę, zawsze pozostanie bezwładną. Przed każdą z tych operacji usypiano mnie starannie, lecz podczas szóstej z nich zdawało się wszystkim, że się już nigdy nie obudzę. Wówczas to chirurgowie z Hong-Kongu oświadczyli, iż powinienem się udać do Paryża. Tam również dwa razy poddałem się operacji... Czy na tem koniec? Chciałbym, aby tak było, lecz bardzo w to wątpię...

Afryka. — Missya w Karemie. W liście skreślonym nad brzegami jeziora Tanganika przez O. Dromeaux, znajdujemy następujące ciekawe szczegóły:

„W ostatnich czasach przybyło tu szczęśliwie kilku nowych misjonarzy, którym towarzyszyli czterej lekarze murzyni, wykształceni w instytucie maltańskim. Obok medycyny trudnią się też oni katechizacją swych rodaków i niejednokrotnie podczas porady lekarskiej, lub poufalej rozmowy wpajają biednym krajowcom pierwsze zasady religii. Wysyłamy też ich kilka razy na tydzień do odległych wiosek, gdzie wykładają katechizm nie tylko dzieciom, ale i dorosłym.

„Dzięki wreszcie poczciwym tym katechistom-lekarzom, którzy nas zawiadamiają o stanie każdego chorego, możemy zawsze w porę przybyć do jego chaty, aby mu przed śmiercią udzielić Chrztu świętego lub innych świętych Sakramentów.

W miarę wzrastania ilości neofitów i katechumenów, pomoc katechistów coraz bardziej staje się dla nas niezbędną. Gdybyśmy więcej ich mieli, to moglibyśmy ich wysłać do odległych zakątków kraju, gdzie dzielni murzyni dla nas utorowaliby drogę. Wszędzie doznają oni serdecznego przyjęcia, gdy tymczasem my biali, wzbudzamy mimowoli nieufność w biednych krajowcach, którzy nas jeszcze nie znają i nie wiedzą, że pragniemy jedynie ich dobra.

»Obecnie jestem zajęty organizacją chrześcijańskiej gminy w Karemie, liczącej już około tysiąca neofitów, starając się o ile możliwości zaopatrzyć każde młode małżeństwo we wszystkie przedmioty niezbędne dla urządzenia domu.

»Od czasu do czasu, gdy mam trochę tkanin bawełnianych, paciorków i tym podobnych artykułów handlu, wykupują za nie niewolników, na których w pobliżu nas nigdy, niestety, nie zbywa. Czemuż nie mogę oswobodzić ich wszystkich i wykształcić na dobrych chrześcijan! Módlcie się więc, abyśmy pomimo naszego ubóstwa, zdołali wyświadczyć to dobrodziejstwo jak największej ilości nieszczęśliwych murzynów!«

Pomnik na cześć kardynała Lavigerie. — X. Arcybiskup Combes zajęty jest obecnie budową mauzoleum dla swego sławnego poprzednika, kardynała Lavigerie. Pomnik ten będzie się wznosił w bazylice kartagińskiej i zostanie oddany pod opiekę misyjnego Zgromadzenia Ojców Białych, założonego przez tego wielkiego afrykańskiego prymasa.

Trapiści belgijscy w Kongo. — Na prośbę Jego Królewskiej Mości Leopolda II, Trapiści z Wesmalle postanowili założyć misję w Kongo, a nawet otrzymali już w okolicach Leopoldville około tysiąca hektarów gruntu. Będą się oni starali zaaklimatyzować w Afryce europejskie plody rolne i w tym celu zabiorą ze sobą nasiona, bydło, oraz niezbędne narzędzia.

Nabożeństwo żałobne w Lagosie za duszę ś. p. X. biskupa Chause. — Dziennik protestancki *The Weekly Record*, wychodzący w Lagosie, podaje w numerze z dnia 3 lutego, opis żałobnego nabożeństwa, odprawionego w miejscowym katedralnym kościele. Artykuł ten przytaczamy w streszczeniu:

»We wtorek rano, o godzinie oznaczonej na odprawienie uroczystej Mszy za spokój duszy nieodżałowanego X. Chause, biskupa Komany i wikaryusza apostolskiego Beninu, do kościoła Św. Krzyża zaczęły napływać ogromne tłumy ludności.

»Całe wnętrze świątyni wraz z tronem biskupim pokryte kirem, wpośrodku zaś nawy wznosił się katafalk, na którym złożono insygnia biskupie.

»Podczas Mszy świętej wielu pobożnych katolików przystąpiło do Stołu Pańskiego, poczem O. Ray wygłosił do zebranego ludu kilka słów o życiu zmarłego Pasterza«.

W dalszym ciągu swego artykułu, *The Weekly Record* wyraża się nader pochlebnie o przemowie, w której O. Ray przypomniał dobroczynną działalność X. biskupa Chause, mówiąc, że pomnożył on ilość szkół, przytułisk i szpitali, budował kościoły, stanowiące dziś chlubę zachodniego afrykańskiego wybrzeża, wykupował niewolników, założył kolonię rolniczą i kilka chrześcijańskich wiosek, przedsięwziął długie podróże do Bidy, oraz innych miast nad brzegami Nigru, a wreszcie utworzył stacje misyjne w Abeokucie, Ojo i t. d.

Postępy wiary w Ubande. — X. biskup Augouard, wikaryusz apostolski Ubangi, skreślił w ostatnich czasach do X. Tregaro, biskupa Sieru list, z którego następujący wyjmujemy urywek:

»Powoli wprawdzie lecz nieprzerwanie, kroczymy ciągle naprzód. Chociaż mniej robimy wrzawy, niżeli niektórzy podróżnicy i badacze, jednak pełnimy wolę Bożą. Mamy nadzieję, że młode chrześcijańskie pokolenie, kształcące się obecnie w naszych szkołach lub warsztatach, przyczyni się kiedyś nie mało do rozwoju i pomyślności francuskiego Kongo.

»Niestety, w ostatnich dniach dowiedziałem się o przybyciu czterech nauczycieli muzułmanów wysłanych z Algeru z całymi rodzinami w celu założenia szkół arabskich nad brzegami górnej Sagi, jednego z głównych dopływów Kongo. Nie mogłem pojąć zasłepie-

nia niektórych ludzi, utrzymujących, że cywilizacja arabska powinna zająć pośrednie miejsce pomiędzy barbarzyństwem dzikich plemion i cywilizacją europejską. Zdaje mi się, że ci panowie naśladują po prostu Woltera, który pisał niegdyś do niemieckich książąt: »Wolę Turków, niż papistów«. Przekonamy się niebawem, czy warto było sprowadzać do północnej części kolonii tych muzułmanów na nauczycieli dla tubylczych plemion«.

Chociaż X. biskup Augouard z ważnych i słusznych powodów bardzo oględnie wyraża się o tych »panach«, my z naszej strony dodać musimy, że są to przedstawiciele łóż massońskich we Francji i dlatego przysyłają muzułmanów, aby ludność muryńską odciągnąć od nauki Chrystusa.

Ameryka. — Meksyk. Wycieczka na terytorium indyjskiego plemienia Tarahumara. W r. 1893 O. Achilles Gerste został wysłany przez rząd meksykański do indyjskiego plemienia Tarahumara w celu zebrania tam archeologicznych okazów, oraz dokonania spostrzeżeń pod względem etnograficznym, o ile to było możebne w pośród tej dzikiej ludności.

Pewnego razu w ciągu swej podróży O. Gerste napotkał indyjskiego starca, spieszącego do pracy w polu. Ujrawszy przed sobą kapłana, stary Indyanin pobiegł na jego spotkanie i upadł mu do nóg, wołając z radością: *Padre! Padre!* (Ojcie! Ojcie!). Następnie ucałowywał krucyfiks, jaki zakonnik miał na piersiach, pocziwy starzec opowiadał mu ze łzami w oczach, że znał ostatnich dwóch misyjników, którzy na początku bieżącego wieku mieszkali w tym zakątku. Dodał też naiwnie, że pamięta doskonale nagany, otrzymywane od nich wówczas, gdy nie umiał katechizmu, jak również pochwały i nagrody za wyuczenie się dokładne zadanych sobie lekcji.

Liczne kościoły, zbudowane tam niegdyś przez misyjników, w niezłym jeszcze dotychczas znajdują się stanie, ale po zniesieniu misyj, wszystkie ozdoby, jak naprzykład lichtarze, obrazy i t. p. przedmioty, zostały ukryte przez krajowców w głębi niedostępnych górskich wąwozów.

Stary Indyanin zapewniał jednak O. Gerste, że skoro tylko misjonarze zechcą do nich wrócić, to oddadzą im natychmiast wszystkie te sprzęty i naczynia kościelne, starannie przechowywane. O. Gerste zwiedził również kilka grobów dawnych misyjników, które pomimo długiego czasu dotąd jeszcze w dobrym zachowały się stanie.

Wogóle Indyanie z plemienia Tarahumara zachowali większą część chrześcijańskich zwyczajów i obyczajów, zaszczyconych im niegdyś przez kapłanów. Charakterystyczną, a nader zaszczytną dla nich cechą jest wstręt do kłamstwa i kradzieży, jakim się odznaczają wszyscy niemal członkowie szlachetnego tego plemienia. Niejednokrotnie O. Gerste pozostawiał w szałasie, służącym mu za mieszkanie, otwartą walizkę, a w niej rozmaite przedmioty, które wielką w oczach krajowców posiadają wartość, jak naprzykład siekiery, noże i różnobarwne tkaniny. Chociaż jednak podczas jego nieobecności wchodzili tam indyjscy poganie, nigdy jednak w rzeczach misjonarza nie zabrakło najmniejszego gracika. Gdy Ojciec Gerste proponował im, aby wrócili znowu na łono Chrystyanizmu, wówczas niektórzy z nich odparli, że nie chcą tego uczynić, aby się nie stać takimi, jakimi są biali, którzy ich krzywdzą i oszukują. Bądź co bądź, wszyscy ci dzicy okazali misjonarzowi głęboki szacunek, a nawet pozwolili mu przypatrywać się swym tańcom, stanowiącym ich jedyny obrzęd religijny, które trwały od szóstej wieczorem aż do czwartej rano.

Niejednokrotnie krajowcy żaręczali mu również, że nie znają żadnych bałwanów lub fetyszów, tylko każdego rana po umyciu się i ubraniu, modlą się przez kilka minut z twarzą do słońca zwróconą. Dlatego też misjonarz nie mógł zbogacić swego zbioru przedmiotami pogańskimi posążkami, ale natomiast znalazł w dzikim tym

zakątku kilka amfor i innych starożytnych naczyń ogromnej wartości. Naczynia te, zwane przez krajowców *moktezumás*, zrobione są z pewnego nieznanego u nas gatunku porcelany, ale niestety, Indianie utrzymują, że tajemnica ich wyrobu oddawna już zaginęła.

Nader łatwą rzeczą jest odróżnić krajowców chrześcijan od pogan. Chrześcijanin zapytany jak się nazywa, wymienia od razu swe imię, poganin zaś odpowiada zwykle: *No tengo nombre* (Nie mam imienia). Drugą charakterystyczną cechą jest to, że chrześcijanie mają zawsze spokojny i wesoły wyraz twarzy, który mimowolnie obudza zaufanie i sympatię, gdy przeciwnie poganie są po większej części nieufni, posępni i nie śmieją nigdy spojrzeć prosto w oczy.

O. Gerste przypuszcza, że w plemienu Tarahumara znajduje się obecnie około 20 000 chrześcijan i tyluż prawie pogan. Pierwsi z nich, niestety, bardzo rzadko dotychczas widywali kapłana, ale prawdopodobnie rząd meksykański pozwoli niebawem wskrzesić w tym zakątku dawne misyje katolickie, któreby rozlały tam dobroczynne światło wiary i cywilizacji.

Oceania. — Archidiecezja Wellington. Następujący wyjątek z listu O. Cogneta, Marysty, maluje nam pewną maoryjską neofitkę z Nowej Zelandyi. Jak wiadomo, Maorysi są mieszkańcami dwóch wysp angielskich w Oceanii. W ewangelizacji tych dzikich synów południowej półkuli Ojcowie Maryści znaleźli dla siebie i źródło wielu radości i pociech.

Jak lilia wśród cierni.

Pieśń nad Pieśniami, II, 2.

Największą rękojmnią lepszej przyszłości tutejszych plemion jest kilka dobrych i pobożnych dusz, które Bóg sam zdaje się zachowywać jako spójnię pomiędzy przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Nigdy nie zapomnę pierwszej wycieczki, jaką odbyłem do lasu Waiau, w celu wyszukania jednej z tych szlachetnych istot, będących prawdziwym narzędziem Opatrzności. Nazywała się ona Marya, chrzest zaś jej odbył się wkrótce po przybyciu do Nowej Zelandyi pierwszych katolickich misyjnarzy. Niezwykła słodycz charakteru oraz uprzejmość względem wszystkich, tak wyższych jak i niższych od siebie, wszędzie zjednywały jej serca. Ponieważ niejednokrotnie już słyszałem, iż znajdę w niej najlepszą owieczkę z mojej trzody, jak najrychlej zatem pragnąłem ją poznać.

Wówczas jeszcze — było to w r. 1891 — nie znałem w całej prowincji Taranaki ani jednego katolika. Zostałem wysłany do tego zakątka wyspy w celu zbadania waruuków, w jakich działalność nasza miała się odbywać; nikt więc nie mógł mi lepszych dostarczyć wskazówek, jak pocziwa Marya, o której tyle słyszałem. Pewien kolonista, usposobiony dość życzliwie względem misyjnarzy, zawiózł mnie w swym powozie aż do Waiau, niewielkiej maoryjskiej wioski, zbudowanej w pobliżu wybrzeża. Tam musieliśmy wysiąść z powozu, który wśród gęstego lasu nie mógłby się posuwać i puściliśmy się pieszo w dalszą drogę, brnąc po kolana w wodzie lub błocie. Przeszedłszy kilka kilometrów, dotarliśmy wreszcie do krawędzi lasu, gdzie przed nami niewielka zarysowała się wioseczka. Na trawie leżało kilkunastu krajowców, którzy ujrawszy nas, zwrócili się z miejsca i powitali jednogłośnie okrzykiem:

— *Haere mai!* — chodź do nas!

Pomiędzy nimi zauważyłem pewnego starca utatuowanego w taki sposób, jak to czynią wodzowie i zwróciłem się do niego z zapytaniem, gdzie się znajduje Marya.

— Przychodzisz do Maryi? — zawołał uradowany starzec — musisz więc być zapewne katolickim kapłanem: O jakże moja kochana siostra się ucieszy! Od lat dwudziestu szczęściu nie widziała już ona żadnego księdza. Witam cię, Ojczy. Przed kilkoma dniami jeszcze żartowaliśmy z Maryi, mówiąc, że Kościół katolicki zapewne nie istnieje, skoro już nie wysyła swoich misyjnarzy. Nie tracąc jednak nadziei, siostra moja powtarzała ciągle:

— Zobaczycie, że Bóg o nas nie zapomni, i że przed śmiercią przysze mi jeszcze jednego ze swych kapłanów, aby po raz ostatni mnie pobłogosławił.

— Chodź więc, Ojczy — dodał starzec — chodź do Maryi, ona się tak ucieszy!

To mówiąc wskazał mi drogę, wiodącą do jego chaty. O kilka kroków przed nami szła młoda kobieta, córka Maryi i zbliżywszy się do niej, rzekła:

— Matko, oto cudzoziemiec, którego odwiedziny z pewnością zrobią ci przyjemność.

— O, to musi być kapłan! — zawołała Marya — wiedziałam dobrze, że przed śmiercią jeszcze go zobaczę.

W teje samej chwili stanęliśmy przed chatą, ocienioną wyniosłymi drzewami i po raz pierwszy ujrzałem tę, której tak gorliwie szukałem. Stanąwszy jednak na progu, zatrzymałem się zdumiony przed sędziwą kobietą, która się prawdziwie dziecięcej oddawała radości, śmiejąc się i płacząc zarazem.

— Mam 86 lat — zawołała Marya, gdyż ona to była — od lat zaś 26 jestem zupełną sierotą, bo w kraju naszym zabrakło kapłanów. Lecz oto Ojciec zlitował się nademną i przybył do swej biednej Maryi, która już bliską była rozpacz... Och, Ojczy, mów mi o dawnych czasach, o Bogu i pięknem jego niebie!...

Byłam pogrążona w ciemnościach, poprzedzających śmierć — ciągnęła dalej urwanym głosem. — Lecz oto gwiazda moja zajaśniała znowu na widnokręgu!... Mogę więc teraz umrzeć, bo mam już tego, kto mi będzie przewodniczył w drodze do wiecznego życia... Ach, Ojczy!... Spojrz na twą małą owieczkę, która chociaż nigdy cię nie widziała, wie jednak, że ty jako pasterz prawdziwy, masz dla niej serdeczne współczucie. Zginęłam wśród krzaków i cierni, abys mnie odszukał.

Od czasu do czasu wychudła dłoń staruszki szukała mojej ręki i ścisła ją z tak głębokim wzruszeniem, że ja i mój towarzyszy z trudnością od łez zdołaliśmy się powstrzymać. Dopiero po upływie pół godziny biedna Marya zupełnie się uspokoiła i opowiedziała mi swe dzieje od chwili odjazdu ostatniego misyjnarza, O. Pezant. Potem pokazała mi swą książkę do nabożeństwa i obrazki, pozostawione jej na pamiątkę przez tego gorliwego kapłana. Były one jeszcze w dosyć dobrym stanie, Marya zaś pokazując mi je, całowała każdy z głębokim szacunkiem.

Zresztą i różaniec zawieszony na jej szyi, dawał mi wyraźnie do zrozumienia, że zacna ta katolicka ani na chwilę nie zachwiała się w wierze. Jakież jednak było moje zdziwienie, a raczej uwielbienie, gdy mi wyznała, że w przeciągu tych lat 26 nie omieszkala ani razu odmówić modlitwy porannej i wieczornej, w każdą zaś niedzielę odczytywała pobożnie nabożeństwo, odmawiane podczas Mszy świętej. Słyszając to, mimowoli wyszeptałem słowa: »Jako lilia wśród cierni«, które Kościół nasz zastosowuje do Najśw. Panny i pomyślałem sobie, że Królowa Niebios musiała widocznie otoczyć biedną Maryę macierzyńską swą opieką, aby ją zachować na wzór dla przyszłych chrześcijanek w odległej tej krainie.

Po długiej rozmowie, której treścią, jak łatwo się domyśleć, było rozkrzewianie wśród krajowców naszej świętej wiary, pocziwa staruszka obiecała mi skłonić całą swą rodzinę do przyjęcia Chrztu świętego i prosiła, abym pozwolił jej przystąpić do trybunału Pokuty i Stotu Pańskiego. Co do mnie, to zobowiązałem się odwiedzać ją regularnie każdego kwartału, obietnica zaś ta wielką sprawiła jej pociechę.

Wreszcie nadeszła chwila rozstania, po wspólnej więc modlitwie wieczornej pożegnałem Maryę kilkoma słowy pochwały i zachęty, poczem pobożny hymn zakończył tak miłe dla mnie odwiedziny...

Wikaryat apostolski wysp Fidży. — Ciekawy i zajmujący list X. biskupa Vidala, wikaryusza apost. wysp Fidży, jaki poniżej umieszczamy, przybył do nas z odległych wysp na oceanie Spokoj-

nym, a mianowicie z Archipelagu Fidżyjskiego, gdzie gorliwi Ojcowie Maryści nawrócili już około 10.000 Kanaków, zbudowali 70 kościołów i kaplic, oraz założyli przeszło 100 kwitnących gmin chrześcijańskich.

Suwa dnia 1 listopada 1893 r.

Jestem prawie ciągle w ruchu, zwiedzając kolejno rozmaite zakątki rozległego mego wikaryatu. Ponieważ nie ma tu ani powozów, ani kolei żelaznych, komunikacja więc niezmiernie jest utrudniona. Zwykle wszystkie wędrowki w *Colo*, czyli w głębi tutejszych wysp, odbywają się pieszo, po ścieżkach nader trudnych nieraz do przebycia. Jeżeli zaś chcemy się udać z jednej wyspy na drugą, to musimy płynąć bądź na niewielkim statku, bądź też w pirogu, który z łatwością może uleść rozbiciu. Jedynie więc, dzięki widocznej opiece Najśw. Panny, wychodzimy cało z rozmaitych niebezpieczeństw, kołyszając się niekiedy w przeciągu kilku dni i nocy na spienionych falach oceanu, Morze bywa czasem bardzo gniewne i złośliwe, a nasze łodzie są tak wątle! W chwili odjazdu polecamy się gorąco opiece »Gwiazdy Morza«, podczas żeglugi zaś śpiewamy z wioślarzami *Ave Maris Stella*.

Z pomiędzy licznych mych wędrowek, dokonanych w przeciągu ostatnich kilku miesięcy, wymienię tylko wycieczkę do Kandawu:

Od lat piętnastu na wyspie Kandawu, jednej z największych i najżyźniejszych w całym tym archipelagu, nie było żadnego misjonarza, gdyż z powodu braku kapłanów, Ojciec Prefekt musiał znieść całkowicie tamtejszą stację misyjną. Niejednokrotnie też 130 katolików, osiadłych w Kandawu, błagało mnie o przysłanie im misjonarza.

— Umieramy wszyscy bez Sakramentów świętych — mawiali nieszczęśliwi — gdyż najbliższy kapłan mieszka ztąd w odległości kilku dni drogi. Wprzód więc, nim posłaniec zdoła dotrzeć do Owalaui i przywieźć stamtąd misjonarza, chorzy nasi tymczasem zwykle umierają.

Serdecznym tym prośbom towarzyszyły zwykle łzy, ja zaś, niestety, pomimo najszczerzych chęci, nie mogłem się przychylić do tak słusznego żądania, gdyż nie miałem pod ręką ani jednego kapłana.

Pewnego dnia zostałem wezwany do łoża umierającego dziewczęcia. Była to nowicyuszka z klasztoru pod wezwaniem Najśw. Panny Loretańskiej. — Ojciec młodej Joanny, tak się bowiem nazywała, poświęcił ją, wraz z trojgiem starszego rodzeństwa, na służbę Boga i Kościoła. Jeden z braci Joanny, który piastował w naszej missyji urząd katechisty, umarł przed kilku laty, teraz zaś biedne dziewczę, wyczerpawszy swe siły wśród ciągłej pracy w szkole misyjnej, miało także niebawem pożegnać się z tym światem. Zbliżywszy się do łoża chorej, udzieliłem jej błogosławieństwa, ona zaś pocałowała mnie w rękę i zebrawszy resztę sił, rzekła:

— Księżu Biskupie, mężu Boży, wiem, że kochasz nasz kraj i pragniesz zbawienia dusz, przed śmiercią więc chcę ci wyznać ostatnią już prośbę, jaka wyjdzie ze stygnących mych ust i obumierającego serca. Błagam się, księżu Biskupie, wyznaczyć misjonarza dla naszej wyspy Kandawu, aby moi rodacy nie umierali bez religijnej pomocy i przez to na wieki nie zostali zgubieni. Och, przyrzecz mi, że dasz naszej wyspie kapłana, a wtedy umrę spokojnie... Błagam cię o to i zaklinam na Najświętsze Serce Pana naszego Jezusa Chrystusa, któremu missya ta jest poświęcona, jak również na imię wspólnej naszej Matki, Najśw. Maryi Panny, którą mam nadzieję zobaczyć w niebie. Przyrzekasz mi to, nieprawdaż?

Czyż mogłem odmówić ostatniej tej prośbie? Zaledwie wyrzekł słowo »tak«, którego biedna chora z upragnieniem oczekiwała, podziękowała mi ona serdecznie i umarła z radosnym na ustach uśmiechem.

W kilka dni później pewien młody misjonarz, O. Jamond, odpłynął do Kandawu, Przed wysłaniem go na tę wyspę, odmalowałem mu szczerze jej ubóstwo, mówiąc, że uboga chałupa będzie mu tam służyła za kościół, takąż sama chata za mieszkanie, ponieważ zaś missya tamtejsza żadnych nie posiada plantacji, wszystkich więc środków utrzymania musi mu dostarczyć wspaniałomyślność ubogich neofitów. Atoli młody kapłan, przejęty jedynie żądzą zbawienia dusz, nie dał się zniechęcić tym brakiem najniezbędniejszych rzeczy i odpłynął. Całe dwa lata upłynęły mu w ubogiej chatce, gdzie deszcz i wiatr ze wszech stron swobodnie się przedzierały i gdzie nie było nawet ani jednego krzesła. Wyrzekłszy się wszelkich przyjemności życia, dzielny misjonarz pozostał na swem stanowisku, powtarzając sobie, że jeżeli odjedzie, wówczas krajowcy będą umierali znowu bez religijnej pomocy.

Ponieważ jednak ubogi jego domek leżał na gruncie nie należącym do missyji, postanowiliśmy więc nabyć kawał gruntu i zbudować dla misjonarza porządną dom z desek. W tym celu postanowiliśmy udać się do Kandawu, gdzie zamierzałem również udzielić Sakramentu Bierzmowania kilkudziesięciu dorosłym neofitom.

Pewnego dnia, wsiadłszy na statek »Saint André«, opuściłem Suwę, w podróży zaś tej towarzyszyli mi OO. Rouillac i Terrien, którzy dopiero w dniu poprzedzającym przybyli do Fidży. Z powodu przeciwnych wiatrów żegluga nasza trwała przez całe dwie doby. Wreszcie o północy dotarliśmy do Kandawu, gdzie pomimo spóźnionej pory znaleźliśmy na brzegu prawie wszystkich naszych neofitów. Przy świetle pochodni, zrobionych z suchych liści kokosowych, pocziwi ci ludzie zaprowadzili nas do kościoła, śpiewając najpiękniejsze religijne hymny. Jednakowoż byliśmy tak znużeni, że musieliśmy odłożyć na dzień następny wszelkie obrzędy kościelne, poczem pobłogosławiwszy naszych neofitów i serdecznie uściśnawszy ich dłonie, udaliśmy się na spoczynek.

Nazajutrz rano udzielił mi Sakramentu Bierzmowania wszystkim neofitom, którzy się dostatecznie do niego przygotowali, a nawet ochrzcił mi trzech dorosłych krajowców, nawróconych w ostatnich czasach. Musieliśmy również przyjmować od naszych wiernych rozmaite dary i przypatrywać się tańcom na cześć naszą wykonywanym, poczem zwiedziliśmy raz jeszcze świeżo nabyte grunta, aby oznaczyć miejsce, na którym ma stanąć kaplica i dom misjonarza.

Po dokładnem zbadaniu wszystkiego i skreśleniu przybliżonego ksztytury, rzekłem do zacnego tego kapłana:

— Potrzeba nam, Ojcze, czterech tysięcy franków na kaplicę i tyleż prawie na twój dom, ale niestety, w roku bieżącym budżet misyjny nie pozwala poświęcić od razu 8000 franków. Dostarczę ci jednakże połowę przynajmniej tej kwoty, nie chcę bowiem, abyś mieszkał dłużej w tej nędznej chałupie, gdzie książki i szaty kościelne, oraz wszystkie twe rzeczy psują się i gniją.

— Księżu Biskupie — odrzekł na to misjonarz — myślmy przedewszystkiem o Panu Bogu i zbudujmy najprzód kaplicę, ja zaś dłużej jeszcze mogę poczekać na budowę domu. Wstydziłbym się mieszkać w porządnej rezydencji misyjnej, gdy tymczasem Pan Bóg, utajony w Przenajśw. Sakramencie, musiałby przebywać pod słomianą strzechą.

Z bólem serca musiałem przystać na tak szlachetne żądanie, ale któż opisze przygnębiające wrażenie, jakiego doznałem, rzuciwszy po raz ostatni okiem na nędzną i wilgotną tę lepiankę, w której wszystko ulega zgniliznie. Mam jednak nadzieję, że Bóg nie pozwoli, aby zdrowie wiernego Jego sługi na tem ucierpiało, oraz że natchnie kilka pobożnych szlachetną myślą udzielenia mu pomocy.

Oto wyniki mej wycieczki do Kandawu. Zwiedziliśmy tam jeszcze parę weslejańskich wiosek, które przechylają się coraz bardziej na stronę katolicyzmu, piękne przez to na przyszłość rokując nadzieje.